

**Książek Władysław**

**AMANT KOMICZNY**

*Powieść z życia aktorów warszawskich*

Nigdy nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy pomyślał, aby zostać aktorem.

Gdy wpadł w rozczenie, co mu się zresztą dość rzadko zdarzało, wówczas był prawie pewny, że z myślą o karierze aktorskiej nosił się jeszcze w dzieciństwie, że zamiar ten musiał już w kołysce pieścić jego niemowlęce marzenia, że do marzeń tych piąstki swe wyciągał po każdym przebudzeniu pierwej, niż do własnej matki, że już się z tą myślą urodził...

Tak sądził w chwilach rozczenia, gdy "gaża" się rozeszła, a do

nowego "pierwszego" brakowało jeszcze dni kilkunastu.  
Przeważnie jednak, zarówno na scenie, jak w życiu, nawet i w  
środku miesiąca,  
widywano go tylko uśmiechniętym lub do śmiechu  
pobudzającym innych.  
Jako towarzysz w wesołej kompanii, nie miał sobie równych.  
Młodzież modnego świata lubiła go powszechnie za jego  
żarty, które dotykały  
zwykle nieobecnych (w braku takich, żartował z siebie  
samego) za jego koncepta,  
z których niepodobna było się nie śmiać, za jego wesołość  
czasami nawet  
nieszczera, zgryźliwą i wymuszoną, ale zawsze zabawną...  
Istotnie, nigdy może natura nie stworzyła twarzy właściwszej  
do piastowania  
dobrego humoru. Była to twarz blada, smukła, o oczach  
jasnoniebieskich,  
mgławych, z nosem niebrzydkiem, nawet klasycznym, ale  
cokolwiek ku lewemu  
policzkowi nachylonym, w skutek czego, rzekłbyś, da-

wała nieustający przytułek sarkazmowi. Z tym ostatnim zaś,  
jako widocznie tylko  
wynikiem skrzywionego nosa, sprzeczał się ciągle ogólny  
wyraz tego oblicza,  
łagodny, dobrotliwy, pełen jakiegoś smutnego doświadczenia i  
płynącej zeń  
wrozumiałości. Sam zresztą korpus, na którym twarz ta, o  
dwóch, jak moneta  
stronach, była osadzona, korpus długi a ciężki i leniwy,  
dopełniał tylko

komicznego wyglądu tej całej figury człowieczej.  
Co prawda, staranna charakteryzacya sceniczna robiła czasem  
z tej twarzy i  
postaci coś niekoniecznie śmiesznego, a wąs naklejony  
łagodził prawie zupełnie  
śmieszna pochyłość przyrzędu powonienia. Ale działało się to  
tylko wysiłkiem, z  
potrzeby.  
Określali to najlepiej sami koledzy, pytając go wówczas w  
żartach:  
— Cóż ty walisz dziś Romea?  
Odcinał się wówczas, ale go to gryzło.

Ba! Przecie niegdyś grywał role bohaterskie i do łez pobudzał  
słuchaczy, a po  
jednym z takich przedstawień otrzymał nawet bilecik  
pachnący, z wyznaczeniem  
schadzki, na którą nie stawiał się tylko z powodu braku  
należytego kompletu w  
garderobie poza-sceniczej... Głupcy! onby im dziś jeszcze  
pokazał, jak się to  
gra Romea!...  
Były to już jednak tylko pragnienia chwilowe, przemijające.  
Nazajutrz bowiem, wróciwszy do swych ról komicznych,  
wracał zarazem do swego  
dobrego humoru, do swoich figlów, które w wesołym świecie  
kinkietów wyrobiły mu  
powszechnie miano "kawalarza".  
A widząc swoje na tych polach powodzenie, godził się z  
losem.

— Tak, to darmo! — rozumował wówczas. — Dziesięć lat "szopki" zrobiło swoje...

Tak istotnie było. Od lat jedenastu scenicznego swego zawodu, tyl-

ko przez rok jeden "bawił się" w bohatera. Grywane zaś następnie role komiczne przeszły mu już w krew, zaznaczyły się w jego ruchach, jak zaznaczyły się w pamięci widzów, przyznających mu w tym kierunku wybitne zdolności. On i śmiech — to było coś nierozłącznego; dlatego to i po za teatrem nikt nie traktował go seryo, a on sam czuł także, że czy śmieje się, czy gniewa, jest już tylko komicznym.

Pozostawał więc z musu przy swoich conceptach i figlach, a gdy się czasem w wesołym gronie zgadano o jego przeszłości, odpowiadał wówczas żargonem zakulisowym:

— Wierście mi, że już mamce przy piersi robił różne "kawały".

Mówił "mamce", ale wiedział dobrze, że karmiła go sama matka, poczciwa krawcowa.

Żał mu było conceptu, który tu oto, wprost, może wydawać się nie bardzo smacznym lub nawet zgoła niezabawnym, ale we

właściwym otoczeniu, przy czarnej kawie i likierze, miał wielkie powodzenie. A przecież pamięć dobrej matki jeszcze tyle była mu drogą, że starał się choć samo jej nazwanie ominąć... Tymczasem niewiele się mylił, odsuwając pierwsze przebłyski swego powołania aż do lat dzieciennych. Koledzy szkolni mogą poświadczyć, że począwszy już od pierwszej klasy deklamował podczas pauz różne wiersze zapamiętane, od trzeciej zaś na każdej lekcji greczyzny lub arytmetyki bawił siedzących obok towarzyszków niemymi scenami, które odgrywały poruszane przezeń pod ławką figurki papierowe, mające wyobrażać chłopów, żydów, uliczników i tym podobne osobistości. Naśladował w tym może zapamiętane z dzieciństwa "jasełka", ale naśladował z pewną oryginalnością i humorem, na którego własność mógł starać się o przywilej.

Zaimprovizowane te przedstawienia cieszyły się wśród kolegów wielkim powodzeniem, ale w szkole nie mogły być przez władzę tolerowane. Pewnego dnia wydało się to wszystko, właśnie na lekcji greczyzny i "entrepreneur" poproszony został do kancelarii dyrektora. W jego ówczesnej wyobraźni dyrektor gimnazjum św. Anny w Krakowie uosabiał

stanowisko, z którego można było awansować wprost na cesarza austriackiego, a po nad takowym stał już tylko sam Pan Bóg. Pomyślał więc, że wezwano go za wysoko, zwłaszcza, że z kancelaryi tej trzeba się było cofać o kilkanaście kroków do izdebki, którą zajmował stróż gimnazjalny, zwany "tercyanem", a posiadający ławkę i trzcinkę, należące jeszcze podówczas do argumentów przekonywających miejscowego systemu pedagogicznego. W drodze też, mimo, że towarzyszył mu oskarżyciel, ów profesor

grechezny, tak się jakoś złożyło, iż "komediant" minął drzwi kancelaryi dyrektorskiej i jednym skokiem znalazł się za bramą szkolnego gmachu. Tam, gdy już parę przebierzonych szybko ulic postawiło go w bezpiecznej odległości, przyszła mu dopiero myśl, że w domu ławki wprowadzie niema, ale czcinkę ojciec z pewnością odnaleźć potrafi, a w ostatnim razie zastąpi ją czembądź, choćby nawet pięścią, uzbrojoną w ciężki napastrzek krawiecki bez denka. Z tem już jednak wiedział, jak sobie radzić. Szedł oto w takich razach do ciotki, wdowy po subjeckie handlowym, która go lubiła, a posiadając domek na przedmieściu "Piaskach", i będąc bezdzietną, zwykle już samem zjawieniem się

swojem rozbijała gniew ubogiego krawca.

Tak się też stało i tym razem.

— No, dobrze, kochana ciotko — mówił krawiec,  
wysłuchawszy niejasnej zresztą  
opowieści o przygo-

dzie syna — dobrze, ale co z niego będzie, gdy szkół nie  
skończy?

Zamożna ciotka nachmurzyła się.

— O! o! wielkie rzeczy! — rzekła. — Mój nieboszczyk  
żadnych też akademii nic  
kończył, a dobrze mu było i dorobił się fortuny przy mojej  
pomocy. Niech Felek  
zostanie tem, czem on... Oddamy go do sklepu na praktykę.  
Mam znajomości.

Przyjmą go łatwo. Już ja się o to postaram.

Chłopak za szkołą nie uczuwał tęsknoty, a mając do wyboru  
między obiciem a  
praktyką w sklepie, wolał na razie to drugie. Ubogi krawiec  
krzywił się

wprawdzie na myśl o wyrzeczeniu się marzeń co do  
przyszłości swego

pierworodnego, o której wysoko roił, ale gdy ciotka szepnęła  
coś o zapomodze,

przystał na jej projekta.

I oto czternastoletni psotnik znalazł się w kilkanaście dni  
później za ladą

sklepową jednego z pierwszorzędných handelków  
krakowskich.

Z nowym położeniem swoim wkrótce się pogodził, a przeznaczony po pewnym czasie do pomocy subjektowi w jadłodajni sklepowej, okazał nawet niemało obrotności.

Miał coś z małych talentów w swojej naturze, albowiem zanim się spostrzeżono, przyswoił sobie nietylko maniery garsonów sklepowych, lecz i wszystkie ich koncepta, a te ostatnie począł nawet odświeżać dodatkami własnego pomysłu.

Starych bywalców owego handelku ujął sobie tem, że wyuczył się w lot ich

słabostek i wybornie pamiętał o ich przyzwyczajeniach.

— Dla pana radcy wódka z kropelkami! — mawiał zobaczywszy starego, zawiedłego sądownika.

I bez pytania napełniał dla niego kieliszek.

— Radzę dziś panu redaktorowi ozór! — mówił do innego z gości z tajemniczą, a tem samem wielce obiecującą miną.

Na co odbierał zwykle odpowiedź:

— Dawaj a szybko!

W ogóle pojętnym był bardzo, nigdy niezmeńczony, choć cały dzień z kąta w kąt

biegał; zawsze uśmiechnięty, z twarzą wypogodzoną, ze sprytem przebijającym w

jasnych, wesołych oczach, zręczny, zwinny i wygadany, choć nie przekraczający

nigdy w gadulstwie granicy, zakreślonej należnym  
uszanowaniem, dobrze usposabiał  
wszystkich ku sobie.

— Wszystko mi lepiej smakuje przy tym chłopaku! — mawiał  
wkrótce stary profesor  
uniwersytetu, tytułowany "panem dziekanem", a znany z  
kwaśnego zwykle humoru i  
wybrednego podniebienia.

— Tak, tak, sprytna sztuka... tylko nie musi być zdrów... za  
blady! — odpowiadał  
gruby doktor, równie bystrem okiem oceniający z wyglądu  
soczystość polędwicy z  
różną, jak i bez-

krwistość w twarzy podającego mu ją praktykanta.  
Niemniej polubili go oficerowie, licznie ten handelek w  
godzinach popołudniowych  
nawiedzający. Zwłaszcza jeden z nich, młody, przystojny  
porucznik od ułanów,  
pozwalał mu żartować z sobą niemal jak z równym.  
Przybywał on prawie codzień z  
jakimś nowym figlem, obmyślanym specjalnie dla uciechy  
chłopca i ciągle się z  
nim przekomarzał, zmuszając go do rozmowy w niemieckim  
języku.

Chłopak za Niemcami nie bardzo przepadał i wśród figłów  
powiedział to otwarcie  
owemu porucznikowi, ku wielkiej uciechu nietylko jego  
samego, ale i całej  
zebranej około bufetu oficerskiej kompanii, której się to  
rezolutne oświadczenie

bardzo spodobało.

Zrozumiał jednak wkrótce całą wartość tego stosunku,  
zwłaszcza, gdy sobie  
przypomniął podziw, jakim w pierwszych dniach po  
przybyciu

do sklepu napełnił go główny buchalter, odpowiadający  
oficerom tym tak płynnie,  
jakby jadł chleb z masłem, a w chwilę później niemniej biegle  
rozmawiający się  
z jakąś francuzką.

— Tak, tak, to dla kupca potrzebne — myślał — a ja przecież  
mam być kupcem i  
może będę kiedyś takim buchalterem...

Odtąd na widok porucznika wrzeszczał: "Guten Morgen" lub  
"Korschamster Diener",

starając się słowom tym nadać jak najwłaściwszy akcent.

Zapuszczał się potem z

nim w całe rozmowy, a tylko tego żałował, że do restauracji  
żaden nie zagląda

Francuz.

Przez rok cały nikt na niego żadnej skargi nie zaniósł;

przeciwnie chwalili go

wszyscy.

A naturalnie pochwały te dostały się z czasem i do uszu

pryncypała. Pierwszy

wystąpił z niemi stary profesor. Ale pryncypał sobie samemu  
przypisał zasługę

obrotności chłopca.

— To już takie moje szczęście, panie dziekanie dobrodzieju!  
— rzekł, zacierając  
ręce przy stosownym ukłonie. — U nas już tak tradycyjnie z  
ojca na syna dobra  
służba! — dodał.

Miał jednak łaskawe oko na chłopca i o całe pół roku dłużej,  
niż to było w

zwyczaju, przytrzymał go w usługach jadłodajni. W końcu  
jednakże, przynaglony

przez dotychczasowego praktykanta piwnicznego, który o  
"zmianę" począł się

dopominać coraz natarczywiej, musiał sprytnego

i chwalonego przez gości Felka posłać do piwnicy.

Nowy ten dział praktyki miał trwać przez rok cały, a była to  
praca nielada.

Początek jej przypadł właśnie na niego pod zimę, zdarzało się  
więc, że chłopak

odtąd światła bożego nic oglądał przez całe tygodnie. Rano o -  
mej, a więc

jeszcze po ciemku, schodził z latarką do ciemnicy piwnicznej,  
a kiedy ztamtąd

koło piątej

wychodził na godzinę obiadową, była już noc znowu. Potem,  
po chwili

odetchnienia, przeznaczonego na posiłek, schodziło się  
ponownie do piwnicy, gdzie

praca trwała jeszcze około trzech godzin. Resztę wieczora  
spędzał w kantorze,

przy zapisywaniu w księgi dokonanych "butelkowali",  
przemierzeń, odbiorów z  
komory i podobnych czynności.  
Chłopak żywy jak iskra, dostawszy się nagle, z pośród ludzi, z  
owego wiru  
sklepowego, do ciemnego, spokojnego lochu, stracił odrazu  
całą fantazyę. Przez  
pierwszych dni parę nowość bawiła go i zaciekawiała. Ale już  
po tygodniu te nory  
wilgotne, ta latarka, z którą się do nich schodziło, brzęk  
kluczy, któremi drzwi  
ciężkie żelazne sam subjekt zwykle otwierał i ta cisza, rzadka  
tylko  
bulkotaniem płynów, syczeniem topionego laku lub  
odbijaniem czopów przerywana —  
wszystko to sprawiało na nim wrażenie więzienia.

Pracowity i czynny już z natury, z usposobienia, nie lenił się i  
tutaj w  
robocie, a trafił szczęściem na subiekta, chwilowo  
zakochanego, a więc na czułą  
nastrojoną nutę, tem samem zaś obdarzonego niezwykłą  
przystępnością i  
pobłażliwością. Ten jego w tym lochu bezpośredni  
zwierzchnik znał go cokolwiek  
"z góry", t. j. ze sklepu, a tu już po dniach kilkunastu tem  
więcej polubił.  
Mimo nierówności wieku zbliżyła ich ku sobie samotność i  
pokrewny minorowy  
nastrój, choć nie z jednakowego wypływającego źródła.

Subjekt marzył o niedzieli, jako o dniu, w którym mając "wychodne", będzie mógł znowu zobaczyć swoją "najdroższą"; młody chłopiec tęsknił za gwarem "na górze", za owymi gośćmi, do których przywykł, za doktorem, starym dziekanem, a zwłaszcza wesołym porucznikiem.  
— Mój Boże! — myślał nieraz obecnie — byłbym tam już do dziś dnia

znacznie się z nim wprawił w rozmowie...  
Zrobił się wkrótce jakimś ociężałym, powolnym, milczącym, tylko oczy szklily mu się jak dawniej, świadcząc o tym nadmiarze życia, jakie w ciele tem siedziało, a które obecnie nie mogło sobie znaleźć żadnego ujścia.  
Szczęściem subjekt dzielił z nim tęsknotę, a jak zwykle zakochani, potrzebował koniecznie zwierzeń, rozmowy, pociechy... Nie mógł żyć bez słów w tej ciszy i pustce prawie więziennej.  
Często więc, gdy robota znacznie naprzód postąpiła, siadał sam na brzegu beczki i chłopcu kazał także odpocząć a zaczynał rozmowę:  
— Cóż, Feliks? źle ci tutaj?  
— Tak sobie, proszę pana — odpowiadał chłopiec.  
— Wolałbyś być na górze? Weselej tam było?  
— Cóż robić.

I pogawędka zwykle od podobnych frazesów rozpoczynana, przechodziła później na poufne tory.

Chłopiec musiał opowiadać o sobie, o swej rodzinie, poruszał nawet wspomnienia szkolne; subjekt wypowiadał mu się z zamiarów ożenku, poprawy losu, marzeń o własnym kiedyś sklepie.

— Zarazbym cię wziął do siebie — dodawał.

A rozmowom tym przysłuchiwał się często dodany im do pomocy parobek, Antoni, również niezgorsze chłopisko i bardzo pracowite. Tu, w tym lochu, po za światem, różnice stanowisk tej trójki ludzi nikły, a wyrabiała się jakaś swego rodzaju poufała zażyłość.

Antoni więc czasem nawet i wtrącał się do rozmowy, zwłaszcza, że w rzeczach "babskich", miał już jak mówił, praktykę.

— A kocha też pana Adama ta panna? — pytał pewnego razu.

— Bo ja wiem! — odparł subjekt. — Kto to może wiedzieć, gdy z kobietą sprawa.

— O! wciurności ją tam! Bo pan Adam nie wie, jak sobie począć... Z babą to ino obcesowo! — radził Antoni.

A młody chłopiec, słuchając tego, dziwił się, że można do czegoś tęsknić po za sklepem, po za "górami", po za jej gośćmi...

Kończono zaś na tem, że zwykle na pocieszenie kosztowano jakiegoś lepszego wina.

Nie pito wiele, może dlatego właśnie, że pić nikt im nie  
wzbraniał, że kosztować  
wolno im było, a nawet należało to do ich obowiązków.  
Zawsze jednak młody chłopiec po owych "próbach" wracał na  
górze wieczorem  
oszołomiony, z niesmakiem w ustach, tem chmurniejszy i  
bledszy i więcej za  
światem stęskniony.  
Co prawda, to i gościom w skle-

pie nikt nie mógł po nim przez czas pewien dogodzić, a ten i  
ów zapytywał, co  
się z Felkiem stało. Pewnego wieczora nawet, gruby doktor,  
spotkawszy go przed  
wejściem do kantoru, właśnie po powrocie wieczorem z  
piwnicy, zatrzymał się przy  
nim już dłuższą chwilę, rozwodząc się z ubolewaniem nad  
zmianą, jaką w nim każdy  
teraz dostrzedzby musiał.  
— Felek, cóż się z tobą dzieje? — mówił. — Wyrosłeś, aleś  
mi czegoś nie utył...  
i oniemiałeś... Na szparaga wyrośniesz, bój się Boga! A  
bladyś, jak widmo!...  
Taki był wdzięczny grubemu doktorowi za tę zaczepkę, że  
byłby go wówczas chętnie  
w rękę pocałował.  
Nareszcie praktyka piwniczna skończyła się po roku,  
przynosząc mu w zysku ten  
dziwny wyraz twarzy, z przyrośłym do lewego policzka  
uśmiechem doświadczonego  
starca, oraz wyborną znajomość różnych

"marek" wina i przeróżnych tajemnic piwnicznych, którymi później zwykle wszystkich wprawiał w zdumienie. Zajęcie jego ograniczało się teraz na ślęczeniu przy biurku, oraz na pomocy za ladą sklepową. W chwilach wolnych, a te miewał w pewnych godzinach, mógł zaglądać do sali przeznaczonej na restaurację i zaglądał czasem. Ale zaszły tam znaczne zmiany. "Dziekan" był ciężko chory i już od dwóch miesięcy, jak mówiono, z łóżka nie wstawał; porucznika przeniesiono do pułku, którego miejscem pobytu był Tarnów; przybyło kółko nowych gości, których nie znał, a z dawnych pozostało tylko paru obojętnych dla niego mruków... Figle więc nie mogły powrócić, natomiast otworzył się przed nim świat całkiem nieznany. W rzędzie tych "nowych" gości, jacy zaczęli tu uczęszczać podczas gdy on w piwnicy przebywał, znalazło się całe kółko aktorów, którzy posprze-

czawszy się o coś z Hawełką, kupcem z sąsiedztwa, przenieśli się tu, jako do jego rywala. Ludzi tych, którzy sami z pańska wyglądali, otaczało zwykle całe

grono młodzieży wytwornej, eleganckiej, z pełnemi zawsze portmonetkami.

Był to też najweselszy stolik.

Czego tu nie było, czego nie rozpowiadano!

Młody chłopiec począł się rozmowom tym przysłuchiwać z wielką ciekawością. Coś

go ciągnęło do tego grona, sam nie wiedział co, ale pokusy przewyciężyć nie

mógł. Każde zasłyszane słowo, czy to powtarzano zabawne anegdotki zakulisowe,

czy czasem poważniej rozprawiano o sztuce i aktorstwie, pochłaniał z

żarłocznością wielorybią.

Począł studyować dźwięki głosu tych ludzi, akcenta ich mowy, dobitne,

niezwyčajne, zwłaszcza, gdy się który z nich w rozprawie zapalił, ruchy ich

ramion, gesta, chód, wszystko

to chwycił i przyswajał sobie z niesłychaną łatwością. Dawny spryt i bystrość

obudziły się w nim z nową siłą.

W pierwszy też wolny wieczór niedzielny, jakie dotąd zwykle w domu u rodziców

przepędzał, poszedł do teatru.

Grano właśnie jakiś łąawy dramat francuski.

Teatr nie był dotąd dla niego nowością; chodził doń dawniej czasami na galeryę,

ale tym razem wszyscy bohaterowie sceniczni byli jego dobrymi znajomymi, których

codzień mógł z tak bliska oglądać. Poznawał każdego po kolei, po pierwszych wyrzeczonych słowach, współczuł z nimi, cieszył się oklaskami, jakie zbierali. Nigdy nie przypuszczał, aby teatr dał mu tyle wrażeń, jak tym razem. Wrócił też z szumem w głowie, ze spieczonemi od gorączki usty, nawpół tylko przytomny, a noc całą przewzdychał, przejęczał zcicha. Nazajutrz szukał tylko sposo-

bnosci, aby się zbliżyć do aktora, który grając główną bohaterską rolę, zrobił na nim największe wrażenie. Sposobność taka znalazła się, aktor ten bowiem przyszedł wcześniej na śniadanie, gdy jeszcze prawie nikogo w sklepie nie było, a do pół-porcji mięsa, zażądał pół butelki wina czerwonego. Sam mu pospieszył usłużyć, chociaż to obecnie do niego nie należało, a odkorkowawszy butelkę, szepnął:  
— Byłem wczoraj w teatrze... Aktor podniósł na niego swe czarne oczy, któremi podobno zachwycały się miejscowe damy, ale mięsa nie przestawał krajać.  
— A!... byłeś pan? — rzekł. No i cóż? Podobałem się?  
— Ach, panie! — powtórzył młody człowiek, nie mogąc zdobyć się na lepsze określenie swego entuzjazmu. Pierwszy bohater zrozumiał pochwałę, a polechtany nią cokolwiek,

oraz widząc zainteresowanie młodego człowieka, rzekł:  
— Jak pan będziesz mieć kiedy wolny wieczór, to panu dam  
bilet na "parter". Po  
co pan masz płacić...  
Chłopiec nie posiadał się z radości i znowu za całe  
podziękowanie szepnął tylko:  
— Ach, Boże!  
Opanowała go też nieznana mu prawie dotąd ochota czytania.  
Przewertował  
wszystkie książki, jakie mieli subjekci w swoich sypialniach i  
znalazł w ich  
rzędzie "Maryę Stuart" Słowackiego.  
Był to dla niego pamiętny wieczór.  
Czytał prawie do rana, przy świecy, podczas gdy pomęczeni  
koledzy spali snem  
ciężkim, twardym. Melodya wierszy dźwięczała mu w uszach,  
upajała go jak wino;  
do niektórych ustępów wracał po trzy i cztery razy. A kiedy  
wreszcie znużony  
zamknął książkę i zagasił świecę, zda-

wał o mu się, że wszystkie figury dramatu krążą około jego  
pośłania, ukazując mu  
swoje smętne twarze, spowiadając mu się z cierpień i żalów.  
Mało spał tej nocy, więc też przez dzień, przy zwykłej pracy,  
ledwie nogi za  
sobą powłóczył i umęczył się bardzo. Ale wieczorem wrócił  
znów do dramatu.

Zachwycała go szczególnie rola Rizzia. Przebiegł ją oczyma raz i drugi, a kiedy już miał zasypiać, zdało mu się, że mógłby powtórzyć z pamięci niektóre ustępy. Tak, nie mylił się. Oto bowiem świeca już zagaszona, książka skryta pomiędzy inne starannie, na półce pod oknem, a tymczasem rymy składają mu się jeszcze, jak przed chwilą, gdy się wpatrywał w szeregi wierszy. Omal nie krzyknął z radości po tem odkryciu. Nie przypuszczał dotąd, aby można się było nauczyć czegoś bez umyślnego zamiaru, przymusu i nie-

odłącznych od tego trudów i mordęgi, jak to niegdyś w szkole bywało.

Niemógł też uleżeć na łóżku i zwlókłszy się machinalnie z pościeli, stanął na środku sypialni i podnosząc głos, począł deklamować w ciemności:

.... Królowo moja, powtórz te rozkazy!  
O! nie, nie! Nie powtarzaj! Nad brzegiem otchłani  
Nie usłucham, choć ściągnę twój gniew, tve urazy!..."

Ostatnie z tych słów musiały być wymówione z niemałą siłą, rozbudziły bowiem śpiącego w sąsiedniej izbie subjekta, który też zerwał się na równe nogi.

— Co tam? Co takiego? Kto tu? —zawołał, stając na progu. To dopiero zapaleńca przyprowadziło do przytomności.

Nie odezwał się jednak wcale, lecz wsunął się chyłkiem napowrót do łóżka.

Subjekt poczekał jeszcze chwilę, poczem odchodząc, szepnął sam do siebie:

— Śniło mi się coś widać... Odtąd chłopiec nie mógł już tych wierszy od siebie odegnać. Plątały mu się między cyframi w kantorze,

prześladowały go na każdym kroku, przy każdej robocie, a w miarę, jak do książki częściej zaglądał, przybywało ich coraz więcej, stawały się z każdym dniem uporczywszemi.

A taka w nich była pokusa, że nietylko przychodziły same, ale jeszcze, wbrew,

jego woli, wykrzywiały mu twarz lub wyciągały ręce do odpowiednich gestów. Gdy

też czasem wypadło mu przejść z pokoju do pokoju, a wiersze właśnie w głowie

zadźwięczały, przybierał bezwiednie chód, miny i ruchy bohaterów, o których marzył.

Zdarzyło się więc, że na uczynku takim podpatrzył go raz sam pryncypał.

— Felek, Felek! — rzekł. — Co ty tak wymachujesz rękami? Sfiksowałeś, czy co?

Zarumienił się po uszy i strzegł się odtąd zdradzać ze swemi marzeniami, ale

marzył ciągle.

Nie umiałby się może z przekonania swego wytłómaczyć, a przecież czuł w głębi duszy, że w sklepie tym jest odtąd tylko gościem. Pracował może niemniej gorliwie, ale czynił to już więcej z nawyknienia, niż z ochoty, jak dawniej. Coś mu szeptało, że on tu długo nie będzie, że lada dzień coś stać się z nim musi.

Rzecz prosta, że wobec tego, nie ucieszyła go nawet chwila wyzwolin na subiekta, o której dawniej marzył z taką dumą i rozkoszą. Nie pojmował radości, jaką to napełniało jego rodziców i ciotkę, która dumna była z tego, że tak pięknie pokierowała jego losami. Zaimponowało mu wprawdzie przez chwilę, że sam pryncypał i koledzy zaczęli do niego przemawiać "panie" i traktować go naraz zgoła inaczej. Ale już w parę dni póź-

niej marzenia o teatrze pochłonęły go znowu zupełnie.

A miał już teraz więcej nieco czasu i więcej pieniędzy na ich zaspokojenie.

Posiadając własną pensję, nie potrzebował lada grosza wypraszać u ciotki lub u rodziców. Począł więc odwiedzać antykwarnie i skupować wszelkie dramatyczne utwory. Brał wszystko bez wyboru, idąc za radami handlarzy, którzy poznawszy się

na jego zapale, kazali mu dobrze za te książki płacić. A on to wszystko do domu znosił i jak dawniej, pilnie czytywał po nocach. Pewnego ranka, właśnie gdy miał przed sobą wolny wieczór niedzielny, dowiedział się z rozmowy przybyłych na śniadanie aktorów, iż na Podgórzu, a więc po części po za obrębem Krakowa, ulokowała się jakaś wędrowną trupą dramatyczną. Artyści "stałego teatru" wyśmiewali tych koczujących braci. Poczęli

przytaczać różne komiczne epizody z podobnych widowisk, słowem, przedstawiali trupę tę w jak najgorszym świetle. — Szkoda, że dziś nie mamy wieczoru wolnego! Wartoby tam pójść dla hecy! — odezwał się jeden. Potem rozmowa przeszła na wędrownie teatru w ogóle, aż wreszcie ktoś się odezwał. — A jednak ilu to dobrych aktorów tam zaczynało! ilu z takich trup wyszło! I poczęto cytować głośne nazwiska. Feliks słuchał tego wszystkiego z rumieńcami na twarzy. Zaledwie też po obiedzie uwolniono go na cały wieczór, pierwszą jego myślą po wyjściu z bramy było: przeczytać afisz owego zapowiedzianego na Podgórzu widowiska. Obleciał kilka narożników ulic napróżno, dopiero w głębi Grodzkiej,

już w pobliżu Stradomia, spotkał się z pożądanem doniesieniem.

Grano Fredrowską "Zemstę", w sali jednego z obszerniejszych zajazdów miejscowych

Początek widowiska naznaczony był na siódmą wieczorem;

Feliks jednak już przed szóstą zjawił się przy kasie.

Nie było natłoku zewnątrz. Oprócz niego kręcił się tylko po sieni jakiś młody

żydek, walcząc widocznie z pokusą zobaczenia "teatru" i z żalem, że trzeba

będzie za to zapłacić. Natomiast w pokoiku kasowym, po za okienkiem, przy którym

sprzedawała bilety jakaś młoda kobieta, pełno było ludzi.

— Proszę o bilet — rzekł Feliks nieśmiało.

Słowa te jego miały wpływ magiczny. Gwar, jakim zebrani po za okienkiem

napelniali kasową izdębkę, przycichł natychmiast, w zamian zaś wynurzyły się z

milnącego chaosu te cztery wyrazy:

— Jest już na światło!...

Kupujący dosłyszał te słowa, lecz

zajęty dobywaniem portmonetki, ani pomyślał, że one do niego się odnoszą, że są

powitaniem nowego widza i obliczaniem przypuszczalnej zeń korzyści.

Zresztą kasyerka zagadała zaraz ten niewczesny wykrzyknik.

— Jaki bilet pan sobie życzy? — rzekła.

— Parter! — odparł zapaleniem, przyzwyczajony już do lepszych nieco miejsc w teatrze, dzięki gratisowym biletom, jakie otrzymywał czasem od głównego bohatera sceny krakowskiej.

— Może pan weźmie krzesło, bo u nas parteru niema... Nie drogie — radziła kasyerka, obrzucając twarz chłopca zalotnym spojrzeniem.

— Proszę! — szepnął, spuszczać oczy.

Do rozpoczęcia widowiska pozostawała jeszcze cała godzina czasu.

Mało znając tę stronę miasta i zajęty przytem jedną tylko myślą o oczekiwaniem widowisku, począł krążyć około zaimprovizowanego gmachu teatralnego, zatrzymując się często przed sienią, w której znajdowała się kasa i główne wejście.

Tam, po chwili, zwrócił jego uwagę mężczyzna krępy, gruby, którego, jak mu się zdawało, widział poprzednio po za okienkiem kasowem.

Mężczyzna ten nie nosił zarostu, ale i nie był starannie wygolonym, a pomimo chłodnej pory jesiennej miał na sobie tylko lekki tużurek, którego kołnierz, postawiony w górę, zasłaniał mu szyję. Wyglądał dość biednie ale w twarzy jego przebijała przecież jakaś fantazyja, spozierał zaś chciwie za każdym nowym spektatorem, zbliżającym

się po bilet do kasy.  
Feliks domyślił się w mężczyźnie tym jednego z aktorów.  
Aktor ten nie był  
wprawdzie podobnym do

owych eleganckich artystów z teatru stałego, a i cały ów  
przybytek sztuki nie  
mógłby był nikomu zaimponować.  
Ale młody człowiek był już na to przygotowanym. Dzięki  
podsluchanej rano  
rozmowie, nie przeraził się tej biedy, jaka tu nawet z  
koszlawych nieco afiszów  
zdawała się przeglądać. Owszem, prostota owa wydawała mu  
się całkiem naturalną i  
obudzała tem więcej jego sympatyę.  
To jedno zresztą było dlań jasnym, że tu się zaczyna być  
aktorem.  
Ta myśl pochłonęła go zupełnie.  
Niem mało się też zadziwił, gdy stojący przed bramą aktor,  
obserwując go przez  
chwilę z pod oka, odezwał się w końcu:  
— Pan dobrodziej na spektakl czeka?  
Zwrócił się zdumiony, a za całą odpowiedź zdobył się  
zaledwie na jakieś  
mruknięcie i kiwnął głową potakująco.

— Niemiłe powietrze! — ciągnął dalej aktor. — Nie ma pan  
przypadkiem papierosa?

Młody człowiek wyciągnął skwapliwie papierośnicę, nie zastanawiając się wcale nad dzikością tego żądania. Owszem, uczuwał dumę, że może usłużyć aktorowi.

— Dziękuję panu — rzekł ten ostatni.

A wzięwszy papierosa, wyciągnął rękę ku młodemu chłopcu.

— Jestem Romiński! — rzekł z przyciskiem.

A było to powiedziane tak, jakby cały świat obowiązany był znać Romińskiego.

Romiński — to powinno było każdemu wystarczyć.

Feliks jednak stał oszołomiony.

— Brrru! jakże chłodno! — mówił dalej aktor, jakby do siebie. — Nie chce mi się

wracać do garderoby po paltot. A trzeba iść co przekąsić przed spektaklem...

Może i pan pójdzie ze mną tu obok?...

— Owszem! — szepnął młody człowiek, nie zdając sobie sprawy z tej znajomości, która tak nagle na niego spadała.

W minutę później znaleźli się obaj w restauracyi, mieszczącej się w tym samym domu.

Aktor miał szczególny sposób obejścia i dziwny dar wymowy.

Rzuczał ciągle różne

zapytania, nie czekając czasem na odpowiedź; mówił za

dwóch, nie zamykając ust

nawet na chwilę.

— Pan lubi teatr? — zapytał, zapijając piwo.

— Bardzo, bardzo! — brzmiała nieśmiała odpowiedź Feliksa.

— Nic dziwnego! Ładna rzecz!... Ale praca dla sztuki ciężka!... Wam, publiczności, zdaje się, że to nic... A to, panie, trzeba poświęcenia, trzeba kochać scenę... Teatr, panie, to kapłaństwo prawdziwe... to jeden z najskuteczniejszych środków cywilizacyjnych... Może napijemy się jeszcze?...

Hej! garson!... Jazda, a żywo! — dodał, wskazując szklanki. Przy tym drugim kufelku Feliksowi poczęło się zdawać, że z panem Romińskim znał się chyba od dziecka. Ośmielony też zapytał:  
— Panowie tak ciągle w podróży?  
— Phi! tak sobie! rozmaicie! Teraz wracamy z Bochni... Mówię panu, na rękach nas tam noszono... Świetnie nam się powodziło!... Tu, bo nie będzie dla nas interesu. Stały teatr pod bokiem... to na diabła się zda... Zatrzymaliśmy się też na krótko... Jedziemy do Oświęcimia, a potem puścimy się w Królestwo... Galicya, to nędza, panie, ostatniej próby!... W Królestwie, to dopiero życie!... A zwracając się znów do garsona, dodał:  
— Hej, kochanku, dajno jeszcze jaką zakąskę... tę z serem, tylko świeżym, rozumiesz!  
Poczem, nie czyniąc prawie żadnej pauzy, ciągnął dalej do towarzysza:

— Nie mogę się dziś nasycić... A to wszystko z przejęcia rolą... Gram

Cześnika... Mordercza rola... Grał ją po mnie Rychterw Kielcach i przepadł...

jak Boga kocham!

Garson przyniósł zakąski.

— Pan nie je? — zapytał aktor, zagryzając bułkę.

— Dziękuję panu! — odrzekł zasłuchany chłopiec.

— Widzę, żeś pan prawdziwy miłośnik sztuki! — mówił znów Romiński. — Widać to

panu z oczów... Znam się na tem!...

Feliks nie posiadał się z radości.

— Przepadam za teatrem! — szepnął.

Aktor wnet te słowa pochwycił.

— A to może zobaczymy się po spektaklu? Zapoznam pana z kolegami... Tu się

możemy zejść... Zgoda?

— Będę czekał! — rzekł chłopiec. Siódma godzina uderzyła.

Aktor zerwał się z miejsca.

— Gwałtu! — zawołał. — Ja tu z panem gawędzę, a tam czas na mnie!...

A więc do widzenia!... Umowa stoi? N'est ce pas?

Feliks skinął głową.

— A nie krytykuj mnie pan bardzo... jestem dziś cokolwiek niedysponowany! —

rzekł aktor, będąc już w połowie sali zajazdowej, poczem szybko zniknął za

drzwiami.

Feliks wstał także. Twarz paliła go. W głowie uczuwał zamęt od tego potoku

wyrazów, jakimi zasypał go wygadany aktor. Wstawszy też zatoczył się prawie.

Oprzytomniły go słowa garsona, który stanął przed nim, śliniąc w ustach ołówek..

— Pan płaci?

Okazało się, że rachunek nie był wcale zapłacony, mimo, iż właśnie pan Romiński

tak głośno wrzeszczał na garsona. Nic dziwnego! "Kapłan" sztuki spieszył się do

jej świątyni Mógł o tej drobnostce zapomnieć.

Feliks też zaledwie zwrócił na to uwagę. Zapłacił wszystko z ochotą.

Przedstawienie zaczęło się dopiero przed ósmą, a wlokło się prawie do dwunastej.

Pan Romiński, jak zapowiedział, był cokolwiek "niedysponowanym", w skutek czego

zacinał się często, a w jednej scenie sprowadził nawet pewne zamieszanie, z

którego z trudem wybrnięto dopiero po kilku większych potknięciach.

Ale widzowie byli w ogóle uzbrojeni w cierpliwość i pobłażliwość, najmniej zaś

Feliksa mogło tu cokolwiek zadziwić.

Spodziewał się zastać teatr uboższy, poczynający, o nie dyspozycyi pana

Romińskiego również z góry wiedział, nie doznał więc wcale zawodu.

Natomiast miłą niespodzianką było dlań pojawienie się na scenie owej młodej kobiety, która własną rączką sprzedała mu przed wieczorem bilet przy okienku kasowem.

— Biedacy! — pomyślał — nie mają nawet kasyera... Prawda mówił Romiński, iż tu się z nich każdy poświęca... Zdało mu się przytem, że ta kobieta pamięta dobrze, które mu miejsce sprzedała i że ze sceny ciągle tylko na niego spogląda. Rumienił się też po same uszy i bał się poruszyć, aby cały teatr nie zwrócił na niego uwagi. Z niemniejszym niepokojem, wśród drzenia, oczekiwał po skończeniu widowiska, w umówionem miejscu, na przybycie Romińskiego. W całej restauracyi pusto już było zupełnie; za bufetem ziewała z nudów jakaś dziewczyna, a dwóch garsonów obliczało w cichości około pieca swoje zarobki. Naraz za drzwiami dały się słyszeć kroki i głosy ludzkie. A więc Romiński dotrzymał obietnicy. Przychodzi nie sam, przyprowadza kolegów, z którymi przyszedł go zapoznać.

Serce zabiło mu gwałtownie i mimowoli wcisnął się z krzeselkiem we framugę okna.

Drzwi główne roztwały się z hałasem i do sali wkroczyło naraz czworo osób. Nie mogli go dostrzedz, więc też już od drzwi dał się słyszeć głos, tenże sam, którym wypowiedziana była rola Papkina:  
— No, Rom, a gdzie twój frajer? Jak widać, uniósł swą obecność?...  
W ślad za temi słowami odezwał się chichot kobiecy. Tymczasem jednak garson poskoczył do wchodzących.  
— Ten pan? — rzekł, wskazując na Feliksa — jest tam!... Romiński w susach pobiegł ku framudze.  
— Aaa! witam kochanego pana! — mówił, wyciągając ręce do młodego chłopca. — Witam, a raczej witamy! Przyproważyłem bowiem kolegów, którym o panu dużo już opowiadałem...

Kobieta chichotała ciągle, choć już teraz ciszej. Była to ta sama "pierwsza naiwna" ze sceny, a kasjerka z okienka, gdzie sprzedawano bilety.  
Ale Romiński nie tracił fantazyi.  
— Panowie! — rzekł, zwracając się do obu kolegów i przybyłej z nimi kobiety. — Pozwólcie, że przedstawię wam mego młodego przyjaciela... Pan...  
Tu urwał.  
— Ożarski — dokończył Feliks, który nieraz już w sklepie przyglądał się ceremoniom prezentacyi.

— Siadajmy tedy, siadajmy! — wołał Romiński, wysuwając stół ku środkowi. — Dla paniusi tu miejsce, bo tam od okna wieje! — dodał, zwracając mowę ku aktorce. —  
No! należy nam się odpoczynek po pracy, czyli, jak to mówią, chleb dobrze zasłużony... Hej, garson, piwa!  
I w dalszym ciągu, swoim zwyczajem, ust nie zamykał. Pomimo tego zapanował chłód jakiś.

Aktorzy, przyprowadzeni przez Romińskiego, spodziewali się widocznie zastać okazalszą niż Feliks figurę, coś z rodzaju dandych, jeżeli nie wiejkomiejskich, to przynajmniej prowincjonalnych, jacy czasami szukają awanturek koło wędrownych towarzystw aktorskich. Tymczasem przed ich oczyma stał chłopiec młody, dwudziestoletni, nieśmiały, wprowadzie dobrze i gustownie ubrany, ale nie sprawiający owego wrażenia, jakie nawet młodzikom daje poczucie dobrze zaopatrzonego pugilaresu. Niewiele brakowało, a byliby zaczęli podrwiwać, zarówno z zapowiadanego im frajera, jak i z Romińskiego, jako "wynałazcy". Na szczęście, chłopiec, czując instyktownie niewesołą swoją pozycję i spoczywające na nim oczy aktorów, zebrał wszystkie siły i zwróciwszy rozmowę na świeżo przedstawioną sztukę, począł mówić z zapałem o nie-

których jej scenach i postaciach, o tem dyktowaniu listu,  
spotkaniu z Milczkiem,  
o scenach kochanków, przedewszystkiem zaś unosił się nad  
wierszem, który chuczy  
i szumi, jak kaskada, jędrny, twardy, rzutki...  
Okazało się, że przeczytał wszystko co z polskiej literatury  
dramatycznej starej  
i nowszej, przeczytać się dało.  
Oto żałuje właśnie, że dotąd nie wpadło mu w rękę pośmiertne  
wydanie pism  
Słowackiego, dowiedział się bowiem, że jest tam także kilka  
dramatów. Ale  
obiecał mu postarać się o to wkrótce żyd ze Szpitalnej, Taffet,  
ten sam, co  
sprzedał mu "Kaina" Byrona, w przekładzie Paszkowskiego...  
Pamięta zawsze  
autorów, a nawet lata wydania książki, którą kiedykolwiek  
czytał... O! pamięć ma  
doskonałą!... Zna też wszystkie sztuki, jakie przedstawiała w  
tym roku scena  
krakowska... Najnowsza z nich, właśnie zeszłej soboty grana,  
to "Nietoperze"  
Lubowskiego... Wyborna

rzecz... Szczególniej ta scena opowiadania w trzecim akcie...  
A jaka to

szlachetna postać ten zięć prezesa!... Pierwszy akt dzieje się w restauracji i także przy pięciu osobach, zupełnie, jak tutaj... Tak to spowiadał im się ze swych uczuć i marzeń, naiwnie, gorączkowo, mieszając razem różne przedmioty, ale ożywiając wszystko, czego dotknął, niekłamanym zapalem i szczerością młodzieńczą. Ciskał "perły" tam, gdzie biblia nie każe ich "miotać"... Aktorzy z początku poczęli nieznacznie trącać się łokciami, ale już po chwili zostali zawojowani. Zaimponowała im ta siła młodej wiary w piękno, jaką ten chłopiec w każdym zdaniu swem przed nimi roztaczał. Nawet Romiński ze swoim gadulstwem został pobity, po części z powodu wymowy chłopca, po części zaś dzięki kotletowi, który właśnie zjadał, a który, zdaniem jego, miał być wcale nie "podgórski", to jest nie zły.

Również i aktorka, w miarę słów młodego człowieka, poczęła coraz baczniej na niego spoglądać, coraz pilniej go słuchać. Zdawało jej się, że widzi w nim samą siebie z przed lat parę... I ona musiała być taką i ją taki sam zapal ożywiał niedawno... Ale wtedy nie wiedziała jeszcze, że chcąc grać "naiwne" trzeba naiwną być przestać... Czuła to, że jutro może z tego chłopca będzie się znowu

śmiała, ale gdy mówił, śmiać się już nie mogła...  
Jeszcze więc przed końcem kolacyi tak się zdarzyło, że całe  
towarzystwo na dwie  
rozbiło się grupy. Romiński wraz z dwoma kolegami zabawiał  
się piwem, które  
kazał stawiać kufel po kuflu, aktorka natomiast przysunęła się  
do chłopca,  
zаслуchana w jego naiwne zwierzenia.  
Feliks podziwiał sam siebie. Nigdy jeszcze nie szła mu tak  
gładko rozmowa z  
kobietą i to z kobietą prawdziwie ładną.

Wreszcie uderzyła druga godzina.  
— Do domu czas już, czas! — zaśpiewał Romiński na znaną z  
"Hugonotów" melodyę.  
— Zaraz, zaraz! — odparła niecierpliwie aktorka i znowu  
rozpoczęła rozmowę z  
chłopcem.  
Ale Feliks to przypomnienie zrozumiał. Wdzięczny był  
artystce za to jej  
zblizenie, lecz zarazem, wiedząc dobrze z praktyki sklepowej,  
jakie to "powinny"  
być kolacye, uczuwał żal pewien, że na tak mało stać go dla  
tych ludzi, co go  
tak serdecznie wśród siebie przyjęli.  
— O! bez czarnej kawy państwa nie puszczę! — rzekł.  
Romiński był już wówczas po siódmym kufelku, nie licząc  
tego, co wypił przed  
wieczorem i co mu przynoszono podczas spektaklu do  
garderoby.

— Obywatelu! — zawołał uroczyście. — Dla mnie mokka może nie istnieć wcale... To przesąd muzułmań-

ski!... Racz więc, miast niej, kazać mi dać naszej "żytniowej".

Gloria! in  
execelsis!

Brutał zrzucił wierzchnią skorupę...

Ale dziewczyna zagadała zrećznie ten wybryk, a gdy w pół godziny później ruszono

od stołu, rzekła do chłopca:

— Nie uwierzysz pan, jaką mi przyjemność sprawiło poznanie pana... Spodziewam

się, że zobaczymy się jeszcze nieraz?...

— Pokazujemy we wtorek! — dodał sceniczny Papkin, który poszedł za przykładem

Romińskiego o tyle, iż obok kawy zażądał także żytniówki, dla kompanii, jak się

wyraził.

W rachunku, który Feliksowi przedstawiono, oprócz potraw figurowało dwadzieścia

trzy piw, mimo, że aktorka i Feliks ledwie w jednej szklance umaczali usta.

Jakiż jednak ten rachunek wydał mu się mały, w porównaniu z temi, jakie tak

często

tam w sklepie płacili sami aktorowie, a zwłaszcza ich przyjaciele?

Z tem wszystkim zostało mu w portmonetce zaledwie  
kilkanaście centów.

Mężczyźni ruszyli przodem, po za nimi postępował Feliks ze  
sceniczną Klarą z

"Zemsty", sama prosiła go o podanie ramienia.

Pożegnano się przy hotelu pod "Jeleniami", gdzie mieszkali  
aktorzy.

— Zobaczymy się więc... liczę na to!- rzekła na pożegnanie  
aktorka.

— Jadamy zawsze obiad tam, gdzieśmy dziś ucztowali —  
dodał Papkin.

Romiński zaś odciągnął chłopca cokolwiek na stronę.

— Nie masz obywatelu, przypadkiem drobnych? — rzekł. —

Potrzeba mi dziesiątki

dla Cerbera, który kluczem swym ma nam ułatwić spotkanie z  
Morfeuszem...

— Służę panu, z ochotą! — przerwał Feliks oddając prawie  
resztkę swojego  
majątku.

Stróż właśnie bramę otworzył.

— Do widzenia! — rzekła aktorka.

— Buona notte! mio caro amico! — zawołał jeszcze

Romiński, już z wnętrza sieni.

Zaledwie około czwartej dotarł Feliks tej nocy do swego  
mieszkania.

Szczyście, koledzy subjekci nie zamknęli drzwi, taki już  
bowiem był zwyczaj, że

kto przychodził ostatni, ten drzwi na klucz zamykał.

Feliks wsunął się też cichaczem, nie obudziwszy nikogo. Czuł  
to jednak, że gdyby

mu nawet przyszło usprawiedliwiać się przed całym światem z  
dzisiejszego  
wieczora, byłby się wcale nie potrzebował wstydzić. Zresztą  
cóż go może  
obchodzić sąd kolegów, wobec tego, iż tam już między tymi  
ludźmi duszę swą  
zostawił?...

Długo nie mógł zasnąć, a nazajutrz od rana myślał tylko nad  
tem, jakby się  
uwolnić, aby zyskać czas na zobaczenie aktorów z Podgórza.

Nie było rady; tylko choroba mogła tu posłużyć.  
Z początku, oburzał się w głębi duszy na myśl kłamstwa, ale  
wkrótce zdziwił się  
sam, iż udawanie przyszło mu z taką łatwością.  
Przygotował do tego wszystkich od samego rana, narzekając  
najprzód przed  
kolegami, a następnie przed samym pryncypałem.  
Nadszedł na to właśnie gruby doktor.  
— Ooo! — rzekł, zbadawszy chłopca — gorączka, panie  
Feliksie i to dosyć mocna!  
Musiało się zjeść coś niezdrowego. Nie ma rady, trzeba iść do  
łóżka, a lekarstwo  
zaraz tu zapiszę...

Pryncypał to słyszał, a chodziło mu o reputację przed  
lekarzem, jako jednym z  
najdawniejszych kundmanów,  
— Idź pan! — rzekł do Feliksa. — Wyleż się pan, zastąpi  
pana Gąsiorowski...

Połowa zadania powiodła się a to chłopca ośmieliło..  
— Na górze niema spokoju — odezwał się, przybierając  
bolejącą minę. — Gdyby pan  
pryncypał pozwolił, wolałbym pójść do rodziców...  
To już zwierzchnikowi było wszystko jedno.  
Naturalnie pobiegł na Podgórze, ale nie wprost ulicą Grodzką.  
Umyślnie kołował  
przez plantacye, od ulicy Św. Anny, zdawało mu się bowiem,  
że wszyscy wiedzą o  
przeprowadzeniu się rodziców do domku ciotki na "Piaskach"  
i że będzie go kto  
śledzić. Swobodniej odetchnął dopiero na moście, dość  
pustym w południowej  
porze.  
Romińskiego nie trudno było odszukać. Przesiadywał dnie  
całe w restauracyi  
hotelowej, a zobaczywszy Feliksa przywitał się z nim, jak  
dobrym znajomym.  
Rozmowa, naturalnie, przeszła wkrótce na teatr i jego sprawy,

a jedzono i pito, jak wczoraj, na rachunek zapalonego chłopca.  
Kolegów pana Romińskiego dziś jednak nie było, więc też  
Feliks mniej jeszcze  
taił się ze swoim zapalem dla sceny, a pod koniec rozmowy  
wręcz dał aktorowi do  
rozumienia, iż pragnąłby zostać jego kolegą.  
Romiński nie bardzo się zadziwił. Widocznie domyślał się, że  
na tem skończyć się  
musi. Pochwalił zamiar, począł znów coś prawić o  
kapłaństwie, a w ogóle wynosił

pod niebiosa stan aktorski i przyjemności tego zawodu. Ale nie ukrywał, że trochę biedy przecież zaznać trzeba. Winę tego zaś składał na dyrektorów. — Publiczność, panie, nic nie winna — mówił. — Publiczność jest zawsze ta sama, ciekawa i potulna, jak dziecko... Tylko ci dyrektorowie, hebesy, panie!... Pragną tylko wyzyskać i obedrzeć aktora, ale i sami nie umieją

robić interesów, bo żaden, panie, nie ma w głowie oleju, ani zamiłowania do sztuki... Przedsiębiorcy, spekulanci — i tyle!... A tymczasem teatr mógłby być złotem jabłkiem. Ale cóż! Jeśli się znajdzie jakiś umysł wyższy, to panie, jak mnie, odmawia los kiepskich kilkuset papierków i trzeba jęczeć w jarzmie... Nazajutrz Feliks jeszcze nie był zdrowym i nie pojawił się w sklepie. W ogóle chorował cały tydzień, ale popołudnia i wieczory przepędzał w towarzystwie wędrownych aktorów. Słowa Romińskiego nie dawały mu spokoju. Pewnego też razu odezwał się do niego nieśmiało: — A gdybym ja miał trochę pieniędzy? Romiński nie zwlekał z odpowiedzią. — Ba! — zawołał. — W takim razie, królu kochany, mógłbyś w teatrze robić, co ci

się podoba... Tanio, oszczędnie, za marny grosz,  
sformowałbym

ci taką dyrekcyjkę, takie towarzystwo, że bodaj w Warszawie  
możnaby je

pokazać...

Rozmowa ta miała miejsce w południe, a wieczorem

"pierwsza naiwna", która ciągle

jeszcze sprzedawała bilety w godzinach popołudniowych, a w  
spektaklu zwykle

udział brała, była niezmiernie dla młodego chłopca uprzejmą.

Radziła się go co do niektórych szczegółów roli, jaką grać  
miała tego wieczora,

prosiła o pomoc przy zapinaniu długich rękawiczek, a gdy  
chłopiec, oblany

rumieńcem, zabrał się do tej czynności dosyć niezgrabnie,

dziwiła się, jak można

mieć tak mało wprawy w tych rzeczach.

Wreszcie, kiedy już wyjść miała na scenę, rzekła:

— Będę dziś grała tylko dla pana... Ty jeden ze wszystkich tu  
widzów możesz mnie

zrozumieć...

Ta zaś gra tylko dla niego tak ją wyczerpała, że gdy po  
spektaklu

wracali do hotelu, zemdląła przed bramą na jego ramieniu.

Romiński, ani żaden z kolegów nie towarzyszyli im tym  
razem.

— Pani, co pani jest? — szeptał nie na żarty przestraszony chłopiec.

— Co? i pan pytasz o to?... O! wszyscyście jednacy! Wkrótce zapewne ztąd

wyjedziemy, a pan zostaniesz i już się nigdy nie zobaczymy...

Ale po co ja to

panu mówię... Jestem szalona... Puść mię pan!... Proszę,

błagam! Zostaw mię z

mojemi łzami!...

Ponieważ zaś Feliks, nieprzygotowany na to omdlenie, już

poprzednio zadzwonił i

stróż właśnie się zjawił, aktorka więc wbiegła szybko do

bramy, powtórzywszy

tylko raz jeszcze:

— Zapomnij pan, proszę!...

Młody człowiek został przed domem oszołomiony,

nieprzytomny, a zawlókłszy się na

noc do rodziców, oka przed świtem nie zmrużył.

Tymczasem ze sklepu przysyłano raz i drugi dowiadywać się o jego zdrowie. Zwykle

nawet posłaniec nie zastawał go w domu, ale matka, bojąc się syna narazić na

przykrość, zapewniała ciągle, iż jeszcze nie zdrów.

Niemniej jednak, gdy sprawa ta coraz dłużej się przeciągała, postanowiono w domu

z nim się rozmówić.

Wkrótce też po owej scenie przed bramą hotelową, ciotka, jako najśmielsza,

zażądała od niego objaśnień, czemu do sklepu nie idzie.

Milczał uparcie przez chwilę, ale gdy wreszcie mówić zaczął, wszyscy zdumieni.

Do sklepu? Po co? Czy zawsze ma na kogoś tam pracować?...

Tymczasem mógłby

pracować na siebie i dla siebie... Ma przecie głowę na karku...

Oto trafia się

nabycie pewnego doskonałego interesu... Czy sklepu?... No,

tak, naturalnie, że

sklepu,

na prowincyi, za bezcen... Nie trzeba nawet więcej gotówki na początek, jak

kilkaset guldenów, a mógłby być szczęśliwym...

Przerażono się tej myśli. Jaki? on? taki młody, chce zaczynać już na własną

rękę?... Oszukują go..., straci... Nie tacy tracili przecie.

Ale perswazyje nie skutkowały.

Feliks spochmurniał, wychudł jak cień, a nagabywany, aby wrócił do dawnego

zajęcia, odpowiadał, że teraz jest naprawdę chory.

Tym razem nie kłamał chyba. Po nocach nie spał, jęczał; z domu nie wychodził po

całych dniach, a przy obiedzie zaledwie przemieszał łyżką jaką strawę, a już

odsuwał talerz od siebie, nieskosztowawszy nawet.

Kochająca go ciotka poczyniała mięknać.

Sklep własny?... To przecie było ustawicznym marzeniem jej nieboszczyka męża...

I kiedy marzenie to

miało się wkrótce urzeczywistnić, śmierć biedaka zabrała...  
Czemu więc Feliks nie miałby być szczęśliwszym?... Młody  
jeszcze bardzo, to  
prawda, ale ma głowę na karku, tego nikt nie zaprzeczy...  
Nazajutrz znów przysłano ze sklepu, a Feliks, wyszedłszy  
około południa z domu,  
spotkał jednego z aktorów z Podgórze i dowiedział się, że  
wybierają się jutro w  
drogę.  
Zdawało mu się, że z ich wyjazdem straci na zawsze  
sposobność urzeczywistnienia.  
swych marzeń. Stanie się tak, jak przepowiadała piękna  
aktorka — pojedą — nie  
zobaczy ich więcej...  
Ale jak tu było pokazać im się bez pieniędzy, zwłaszcza po  
tem, co mówił do  
Romińskiego?  
Pozostawał jednak jeszcze ratunek — ciotka.  
Upatrzył chwilę, gdy była tego dnia samą i upadł jej do nóg.

— Życie moje od ciebie zależy, ciociu! — rzekł ze łzami w  
oczach. — Ja muszę  
mieć trochę pieniędzy... To pożyczka tylko... Dorobię się,  
oddam, do śmierci  
będę wdzięczny.  
— Ciągle więc marzysz o kupnie tego sklepu? — zapytała  
kobieta.  
Nie wiele brakowało, a byłby wyznał całą prawdę.  
W porę się jednak powstrzymał.

— Tak, tak — rzekł — to jest konieczne do mego szczęścia.  
Ja już bez tego nie  
mógłbym żyć... umarłbym!... zginął!...  
Taka szczerłość dźwięczała w tej prośbie gorącej, namiętnej,  
że ciotka została  
przekonaną...  
Ale przy ściślejszem określeniu potrzebnej sumy, okazało się,  
że biedna kobieta  
nie ma tyle gotówki.  
Pięćset guldenów! To suma! Któżby tyle w domu trzymał...  
Ciężkie czasy.  
Lokatorowie ociągają się z opłatą komornego... Zresztą  
rodzice zajmują teraz dwa  
pokoiki, które się

dawniej najlepiej opłacały... Bieda... kompletna bieda...  
Wprawdzie dałoby się  
coś zebrać... ale od ludzi... W każdym razie nie natychmiast...  
Za miesiąc, za  
tydzień zresztą...  
Chłopiec był niepocieszony...  
— Za tydzień wszystko przepadnie! — zawołał.  
To ciotce cokolwiek otwarło oczy. Znała się przecie na  
interesach.  
— Cóż znowu? — rzekła — nie bądźże gorączką... Takie  
interesa nie załatwiają się  
przecie na poczekaniu... Nie może być, aby parę dni zwłoki  
miało temu  
zaszkodzić...  
Cóż było na to odpowiedzieć?...  
Dobrze! będzie czekał...

Tymczasem pobiegł na Podgórze... Dawano dnia tego ostatnie widowisko. Romiński powitał go ironicznie.

— Cóż, plany przepadły? — rzekł. — Wolisz pan pieprz ważyć?

Widocznie zaciekawiony kilkudniową jego nieobecnością, dowia-

dywał się o niego i doszedł całej prawdy.

Feliks zarumienił się też jak dziewczyna, którą po raz pierwszy pocałowano.

— A jednak pieniądze będę mieć! — rzekł. — Tylko nie dziś jeszcze... za parę dni...

— I nie wyrzekasz się pan zamiarów? — zapytał aktor.

Wyrzec się?... on! za kogóż go biorą?... Alboż nie poświęcił już temu celowi tak

wiele?... Choćby miał zginąć, musi doprowadzić marzenia swe do skutku.

Romiński nie wiedział, co o tem myśleć... Na razie chłopiec ten był mu już

obojętnym. Znalazł się bowiem w ostatnich dniach kilku pewien protektor sztuki,

znacznie nawet od Feliksa hojniejszy. Był to człowiek już stary, obywatel,

dogryzający resztek fortuny. Na długo nie mógł on starczyć, o tem aktor dobrze

wiedział, ale chwilowo można było z nie-

go pociągnąć. Na jego namowy zmieniano nawet ułożoną poprzednio marszrutę i wyjeżdżano wprost do Królestwa.

Ale czyż od przybytku może głowa boleć?

— Dobrze! — rzekł aktor — zostawię panu adres... Jak chwycisz gotówkę,

przyjeżdżaj za nami i zgłoś się do mnie... Mam doświadczenie, nie wyjdiesz źle

na tem... Tymczasem kup krzesło i chodź do teatru.

Piękna aktorka obrzuciła go na powitanie czułym spojrzeniem, jak dawniej, ale

nie mogła mu wiele czasu poświęcić tego wieczora. Nowy protektor nie odstępował jej ani na chwilę.

Nie zauważyła też nawet chłopca nazajutrz na kolei, gdy gotowano się do drogi.

Tylko Romiński dotrzymywał mu towarzystwa, co prawda, na uboczu, nie szczędząc rad i wskazówek, które streszczały się w tem, że trzeba przywieźć jak najwięcej

pieniędzy... Tymczasem pożyczył od niego jeszcze paru guldenów.

— Potrącisz mi to później, z gaży! — usprawiedliwiał ten swój postępek.

Wreszcie zajęto miejsca w wagonach. Większość usadowiła się w klasie trzeciej.

Tylko "dyrekcyja", oraz piękna Klara z "Zemsty" z owym protektorem, usiedli w klasie drugiej.

Aktorka nie spojrzała już wcale na Feliksa, tylko Romiński wychylił się z okna wagonu.

— Do widzenia! — zawołał. Kiedy pociąg ruszył, Feliks uczył ból w piersiach, a w oczach łzy.

Przez cały wieczór plątał się po mieszkaniu rodziców i ciotki, jak bez duszy,

milczący, ponury, z gorączką na ustach.

Czuł sam, że potrzebuje jakiejkolwiek pracy, zajęcia, aby myśli rozerwać, aby

mógł choć na chwilę przestać marzyć o niespełnionych dotąd pragnieniach. A

czytać nie mógł. Sam więc oświadczył nazajutrz, że czuje się

zdrowszym, że wróci do sklepu.

Nie zastał tym razem zmian żadnych, wszystko szło utartym szlakiem. Sklep tak

samo pełen był kupujących, w restauracji, jak zwykle, o wolny stolik było

trudno. Ten sarn ruch i życie. Praca toczyła się przez czas jego nieobecności

bez niego, nie zatrzymawszy się ani na chwilę.

Ale to przekonało go tylko tem więcej, że jest tu zbyt cennym.

Zaraza tkwiła mu

już we krwi. Czuł się obcym między tymi skrętnymi ludźmi, między tym ruchem,

którego dawniej tak ważną stosunkowo część stanowił.

Ciotka też omyliła się w rachubach, że Feliks, wróciwszy do sklepu, przestanie

ją o pieniądze naciskać.

Celu swego nie spuszczał z oka. Przypominał jej to codzień,  
bo jeszcze jako  
słaby, sypiał w domu u rodziców.  
Wreszcie pewnego dnia, gnębiona ciągle ciotka, oświadczyła,  
iż

zebrała potrzebną sumę. Ma już pięćset guldenów.  
Nie ukrywała naturalnie swych obaw, aby pieniądze te nie  
przepadły. Feliksowi  
wierzyła, ale o złych ludzi przecie nie trudno. Mogą oszukać,  
wywieść w pole...  
Chłopiec jednak wymową swą umiał te obawy ukoić.  
Cel oddawna upragniony zbliżał się, aż pewnego ranka  
dojrzał.  
Upomnień, nowych skrupułów, jeszcze i tym razem nie brakło  
— ale ostatecznie  
Feliks, z pieniędzmi w kieszeni, po czułym pożegnaniu z  
rodziną, wyjechał do  
Tarnowa dla ubicia interesu o kupno sklepu.  
Żegnając się, miał łzy w oczach, a przecież nie wyjeżdżał  
znów za świat..  
Wytłómaczano sobie to jednak tem, że wyjeżdżał sam i nie  
chcąc nikogo trudzić,  
prosił, żeby go nie odprowadzono.

Przecież poczciwa ciotka, zdecydowawszy poprzednio, że  
pozostanie w domu, uparła  
się w końcu.

— Nie ma co! — rzekła. — Odprowadzimy cię... Niech to będzie po ludzku... Wszak

o jedenastej pociąg odchodzi w stronę Tarnowa?

— O jedenastej! — szepnął chłopiec, zagryzając z boleścią wargi.

Cała rodzina znalazła się na dworcu i Feliks istotnie odjechał pociągiem

lwowskim.

Ale o trzeciej po południu był już z powrotem na tym samym dworcu, z którego

przed czterema godzinami wyjechał.

Na wzór Romińskiego, jak go widział przy pierwszym z nim spotkaniu, podniósł

kołnierz od paltota, ale dla ukrycia twarzy. Ledwie też doczekał się piątej

godziny w sali bufetowej... Paszport miał w kieszeni, a co chwilę dotykał boku

lewego, chcąc się przekonać o obecności pieniędzy.

Wreszcie zadzwoniono. Zjawił się kolejowy szwajcar.

— Do Trzebini! Granicy. Warszawy! — wołał!

Nazajutrz znajdował się w Częstochowie, w towarzystwie aktorów, których znał z

Podgórza. Zarówno jednak Romińskiego, jak i pięknej aktorki, już w tej trupie

nie było. Kiedy zaś o nich zapytał, odpowiedziano mu otwarcie, że ona, dzięki

chwilowej protekcji, chciała jak szara gęś rządzić w całym "towarzystwie" w

skutek czego posprzeczała się z dyrektorką i wyniosła się do innej trupy do

Radomia. On, Romiński, poszedł tam za nią — z przywiązania, za co znów ona — z wdzięczności — kupiła mu nowy paltot... Mówiono o tem z humorem, wśród wybuchów śmiechu; Feliks jednakże słuchał oszołomiony, nie wiele rozumiejąc. Zdradziły to jego zdziwione oczy. Poczęto mu więc dokładniej obja-

śniać przytoczoną kombinację. Wreszcie odezwał się ktoś: — To było, panie drogi, ambo meliores! Oczyszcziło się trochę towarzystwo przez ich odejście.

Co prawda, mówił to jeden z aktorów, który gorliwie zjadał kolacyjki w towarzystwie krytykowanej pary. Ale nikt już nie widział potrzeby ukrywać się z czemkolwiek przed Feliksem, jako przed nowym kolegą. Teraz też dopiero, tu, gdy ujrzał się zdala od swoich i mosty za sobą popalił, zaczął Feliks rozumieć całą nędzę przygodnej egzystencji i pożyczanego blichtru.

Lepiej jeszcze otwarło mu oczy zachowanie się pewnej kobiety, wdowy, od której za poradą jednego z aktorów, pragnął odnająć mieszkanie.

— Nie mam mieszkania wolnego! Już wynajęte! — rzekła, dowiedziawszy się, że Feliks jest także aktorem.

Dopiero, gdy chłopiec zrobił uwagę, że nie wszystkich jedną moż-

na mierzyć miarą, oraz że pieniądze ma i płaci z góry,  
kobiecina zmieniła  
pozycję.

— Bo to widzi pan, z przeproszeniem, ale ci koledzy pańscy,  
to niech Pan Bóg  
broni! Trafiają się między nimi różni — ja sama miałam tu na  
stancyi jednego  
porządnego — ale reszta, to gorzej bandytów!...  
Nie powtórzył tego nikomu, ale dobrze to sobie zanotował w  
pamięci.

Ten świat złotych barw i gorących uczuć, tak piękny z daleka,  
począł coraz  
więcej blednąć w jego oczach. Ale wtedy przypominał sobie  
artystów krakowskich,  
a przypomnienie to przynosiło mu niemałą pociechę.  
W poczet aktorów został zaliczony bez trudności, a mimo to,  
że towarzystwu nie  
najlepiej się zaczynało powodzić, obiecano mu nawet dobrą,  
jak na początek,  
gażę. Człowiek młody zawsze się na scenie przyda, co zaś do  
obietnic, przekonał  
się

wkrótce, że te nie wiele tutaj kosztują. Tymczasem jednak nie  
chodziło mu o to  
wcale. Pieniądze miał, postanowił też taić się z niemi przed  
kolegami, żyć  
oszczędnie, a tymczasem grać, grać i uczyć się jak najwięcej.

Już na sam początek, nazajutrz po przybyciu, dano mu kilkuwierszową rolę. Nigdy nie mógł zapomnieć wrażenia tego pierwszego występu. Po wejściu na scenę zaćmiło mu się w oczach; nie widział nic, ani kolegów, ani świateł, ani widzów. Kiedy powiedział, co należało i jak zeszedł ze sceny, nigdy sobie tego nie mógł przypomnieć, a jednak wszyscy mówili, że "dobrze było". Pod wpływem zadowolenia wewnętrznego napisał tego wieczora list do ciotki i rodziców, zawiadamiając ich o całej prawdzie. — Będziecie kiedyś dumni ze mnie i musicie mi przebaczyć — pisał. Ale pierwszy entuzjazm wkrótce Przeminał. Z Częstochowy wywędrow-

wano do Zamościa, zwiedzono następnie Białą, Siedlce i wiele innych miasteczek. Czas płynął, pieniędzy ciągle ubywało, "dyrekcyja" bowiem nie płaciła mu ani czwartej części przyobiecanej pensyi, a nie płaciła dlatego, że się nie upominał. Widział, że koledzy o każdy grosz się kłócą i dopominają po kilka razy na dzień, zastępując drogę dyrektorowi na ulicy. Chciał ich w tem naśladować, ale gdy pierwszy raz z zamiarem takiej zaczepki, zbliżył się do zwierzchnika, stchórzył i zapytał tylko: na którą godzinę naznaczona próba?...

— Na jedenastą! — brzmiała odpowiedź i na tem się wypłata skończyła.

Podobnie zaś, jak z wypłatą, działo się tu i z każdą lepszą rolą, o które

staczano zażarte utarczki słowne, wiodące często nawet dość daleko. Bodaj też, czy na dworach królewskich kwestya rang i pierwszeństw

jest tak przestrzegana, jak w tym świecie pożyczanych fraków, papierowych koron i pozłacanej biedy.

— Co się pan rwiesz, kiedy to mnie się należy! — usłyszy tu każdy zapalony

nowicyusz, wyciągający rękę bądź co bądź po trud i pracę.

I nie może być inaczej. Biedę złoci tym ludziom i czyni ją znośniejszą właśnie

tych parę godzin scenicznego tryumfu.

Słyszał więc często takie upomnienia i Feliks, zwłaszcza, że czysty jego

kołnierzyk, nie przyszyty do tużurka, lecz wprost do koszuli, jak być powinno,

stał niejednemu z towarzyszy solą w oku. Wiedziano, że przyobiecanej pensyi

odbiera zaledwie małą cząstkę, poczęto go więc podejrzynwać i śledzić.

— Musi na tem zyskiwać! — rzekł jeden z kolegów i ręką pokazał rozdawanie kart.

— Oczywiście, dlatego się tak stroi! — dodał drugi.

Ale po bliższem rozpatrzeniu sprawy, okazało się, że chłopiec zaraz po spektaklu lub próbie wraca wprost do swego mieszkanka, gdzie często można widzieć światło nawet i do rana.

Inne, jeszcze lepszego gatunku dymysły, również upadły, gdy sprawdzono, że

mieszka (a było to w Kaliszu) u ubogiego stolarza.

Dopiero też na końcu zdecydowano:

— Przysyłają mu z domu!...

Zjednało mu to pewien respekt, ale nic przysporzyło miłości koleżeńskiej.

Zresztą i jemu sprzykrzyła się wkrótce kompania tych ludzi, z ich wiecznie

jednemi i temi samemi rozmowami, obracającemi się w ciasnem kółku kolożeńskich

intryg. Pozostał grzecznym dla każdego, leżało to już bowiem w jego spokojnej

naturze, a zagadnięty zręcznie, lub czasem nawet z własnej ochoty, widząc

potrzebę którego z biedaków, pożyczał chętnie

po parę złotych na wieczne nieoddanie. Tak samo, pod naciskiem, gotów był

przesiedzieć wśród kolegów po przedstawieniu do białego rana. Ale gdy mógł się

wyrwać, bez urazy dla kogokolwiek, w takim razie zmykał najchętniej do domu.

Niemniej też stronił od kobiet, od koleżanek, które zresztą zmieniały się

często, wędrując od towarzystwa do towarzystwa. Od czasu  
owej Klary z Podgórza  
zachował jakiś wewnętrzny żal do całego rodzaju  
niewieściego, zarówno w teatrze,  
jak i po za sceną. Wprawdzie tamta kobieta nie czyniła mu  
żadnych przysiąg, a  
więc i nie zdradzała, w znaczeniu, jakie się zwykle  
przywiązuje do tego  
określenia. Przecież zawiele z jej powodu marzył, więc nie  
mógł jej darować, że  
mu tak prędko znikła z przed oczu, nie obejrzawszy się nawet  
za nim. Takich uraz  
nie zapomina się łatwo w dwudziestym roku żywota. Ztąd zaś,  
zarówno

wobec czułych spojrzeń, jak i drwinek żeńskiej połowy  
koleżeństwa, zachowywał  
się zgoła obojętnie.  
Podobnie jak aktorki, zmieniali się i aktorzy w tej trupie.  
Towarzystwo składało  
się wprawdzie ciągle z dwudziestu mniej więcej osób, ale z  
kompletu niegdyś  
podgórskiego, oprócz dyrektora i dyrektorowej, pozostało po  
dwóch latach  
zaledwie paru starszych aktorów. On zaś trzymał się tej  
dyrekcyi ciągle,  
najpierw z powodu, iż łudzono go obietnicami zwrotu  
zaległych pensyj, powtóre w  
nadziei, że przecież lepszych ról się doczeka. Jakoż dostawały  
mu się one z

konieczności, gdy obsada sztuki tak się składała, że nie miał kto roli takiej zagrać. Zresztą repertuar składał się przeważnie z samych sztuk starych, jak: "Stary piechur i syn jego huzar", "Kominiarz i jego córka", "Asmodesz, syn piekła", "Dobosz, groźny opryszek karpacki". Wprawdzie czasem zjawiały się i nowe, ale tamte

powracały zawsze, gdyż nigdy nic zawodziły kasy, a główne w nich role były przywilejem kilku starych weteranów towarzystwa. W tym czasie miał też sposobność przyjrzeć się losom kilku, równie jak sam niegdyś zapalonych młodzieńców, pragnących zaciągnąć się w szeregi aktorskie. Zwłaszcza jeden z nich, potulny, naiwny chłopczyzna, był przedmiotem żartów całego towarzystwa, mimo biedy bowiem fantazyja u tych ludzi nie słabnie, a humor jest zawsze jeden — dobry. Z tym oto chłopcem rozpoczęto od tego, że zamiast dyrektora, o którego się dopytywał, przedstawiono mu inspicjenta, Tychora, gotowego zawsze do konceptów. Pomimo niepoczesnej swojej figurki, Tychor przybrał minę, właściwą godności, w jaką go na prędce przybrano i do drżącego kandydata odezwał się z powagą:

— Dobrze, proszę pana, ale czy pan masz głos? U nas śpiew to także rzecz ważna...

— Wszystkiego się nauczę — szepnął chłopczyzna.

— Trzeba to zbadać!...

Robiono właśnie próbę z jakiegoś wodewilu, Tychor zasiadł więc przed wypożyczonym klawikordem i nie mając zupełnie pojęcia o grze na żadnych z istniejących na świecie instrumentów, począł całymi garściami brać akordy (tak to brzdąkanie nazywał) i wołał:

— Proszę śpiewać za mną... A, a, a, a!... Lekcja śpiewu z "Cyrulika"... A, a, a, a!...

Biedny chłopiec, zmieszany już tem jednym, że stał na prawdziwych deskach scenicznych, wobec całego grona aktorskiego, jęczał niemiłosiernie:

— A, a, a, a!...

Powstała ztąd straszna kocia muzyka.

Aktorzy dusili się ze śmiechu.

Do zenitu jednakże doszła uciecha, gdy Tychor, któremu nie dość było tego, oświadczył młodzieńcowi, że musi również zbadać jego talent choreograficzny i kazał mu powtarzać za swoim przykładem najniemożliwsze skoki.

Byłaby to istotnie zabawna scena, gdyby nie odbywała się  
kosztem człowieka,  
dziecka prawie, i jego dobrej wiary.  
Tu jednak śmiano się serdecznie, bezmyślnie, a najgłośniej  
śmiechowi wtórowały  
kobiety, zgromadzone około swej garderoby. Tylko jedna z  
nich, w kulisie ukryta,  
nie tylko nie śmiała się wcale, ale w całym obliczu miała jakąś  
skargę bolesną, a  
w oczach łzy. Nie odznaczała się ona pięknnością, a w  
towarzystwie, może dzięki  
brakowi zdolności, zajmowała podrzędne stanowisko  
chórzystki. Nikt też na nią  
uwagi nie zwrócił.

Ale Feliks dziewczynę tę dostrzegł, a na rozgrywany żart  
patrzył i bez tego ze  
ściśniętym sercem, zdawało mu się bowiem, że sam tylko  
niezupełnie pustej  
kieszeni zawdzięczał lepszy nieco początek aktorskiego  
zawodu.  
Przeszkodzić tej scenie nie mógł, nie miał odwagi. Ale  
ponieważ zamówiono sobie  
tego chłopca nazajutrz dla powtórzenia zabawy, pragnął mu  
przynajmniej dalszego  
upokorzenia oszczędzić.  
Wysunął się więc za nim na ulicę i objaśnił go ze  
współczuciem w głosie o całej  
prawdzie. Nie chciał go zniechęcać, ale radził mu więcej  
nazajutrz bacności.

— Nie daj pan ze siebie kpić... Zobacz się sam z dyrektorem...  
Ja cię  
przedstawię — zakończył.  
Nie chcąc też patrzeć, jakie wrażenie wywrą jego słowa na  
chłopcu, pożegnał go  
krótkim "Do widzenia"

i odwrócił się szybko, zmierzając z powrotem ku teatrowi.  
Zaledwie jednak parę  
kroków postąpił, spotkał się oko w oko z chórzystką, którą  
również żart kolegów  
nie zdołał zabawić.  
Miała jeszcze oczy zaczerwienione od płaczu.  
Chciał koło niej przejść obojętnie, ale zaczepiła go sama.  
— Powiedziałeś pan temu chłopcu wszystko?... O! dziękuję  
panu! — mówiła, drżąc i  
ściskając jego rękę nerwowo. — Nie zapomnę panu tego  
nigdy!... Bo to... to...  
mój brat...  
I pobiegła dalej za chłopcem, Feliks zaś widział po chwili, jak  
oboje, nie  
bacząc na ulicę i przechodniów, przywitawszy się z  
widocznym wzruszeniem,  
poczęli ocierać zapłakane oczy.  
Była to cała historia, a Feliks dowiedział się o niej jeszcze  
tego dnia,  
wieczorem, odprowadzając po przedstawieniu ową  
dziewczynę, o co go serdecznie  
prosiła.

Ona i brat — to dzieci zamożnego obywatela z kaliskiego. Na dowód może mu wymienić wieś, którą dobrze pamięta, psa Kastora, któryby dziś jeszcze ją poznał, jeżeli starowina żyje... Może mu opisać dwór cały, nazwać służbę, sąsiadów, znajomych... Matka odumarła ją wcześniej, w zaraniu dzieciństwa, a i ojciec poszedł za nią niebawem... Naznaczono im opiekunów z pomiędzy krewnych. Oh, była to opieka, pożał się Boże!... Bito ją i brata, zamiast czego uczyć... Ona też miała już lat czternaście, a brat o rok tylko był młodszy, gdy zlitowano się i oddano ich nareszcie do szkół, do Kalisza... Ale po dwu latach opiekunowie zaczęli w opłacie zalegać, a w końcu, narzekając na ciężkie czasy, odebrali z pensjonatu, a oddali na mieszkanie do jakiejś kuzynki. Tam wzrastali, jak chcieli; nikt prawie niemi się nie zajmował... Skończyło się na tem, że dziewczyna, zapoznawszy się z jakąś aktorką, uciekła wraz z nią z miasta.

Chłopiec chciał to samo uczynić, ale opiekunowie przerazili się odpowiedzialności przed resztą krewnych i zaczęli go pilnować, a jej poszukiwać.

Nie znaleźli jej, bo zmieniła nazwisko, a jak się teraz pokazuje, po dwu latach nie upilnowali i jej brata. Ale ona otworzyła mu oczy i odwiodła od tego zamiaru. Już jutro nie przyjdzie i nie będą z niego drwili. Istotnie, nazajutrz napróżno aktorowie oczekiwali na powtórzenie wczorajszej "szopki". A był to dla niektórych zawód nie mały. Oto bowiem, licząc na przybycie naiwnego kandydata, pospraszali swoich "przyjaciół" z pomiędzy publiczności, obiecując im zabawę, jakiej jeszcze nie widzieli. Kosztem tych przyjaciół zjedzono już nawet śniadanie z winem, aby humory były jeszcze lepsze. Niestety, jeden z komparsów widział, iż wczoraj Feliks wyszedł za tym chłopcem i towarzyszył mu przez całą ulicę. Poszepnął też to panu re-

żyserowi, ten zaś, rozzłoszczony zawodem, wpadł bez namysłu na obwinionego.

— Mój panie Ożarski! — zawołał, podnosząc głos. — Co się pan mieszasz w to, od czego panu zasię! Patrz pan lepiej swego krzywego nosa! Widzicie go! Jeżeli się panu nasze żarty nie podobają, to wróć do cykoryi i angielskiego ziela!

Wymówiono mu więc znowu dawniejszy cichy i porządny żywot. Naturalnie, tu musiała być praca źle uważana.

Odtąd stosunki wzajemne między nim a całym gronem kolegów zaostriły się jeszcze więcej. Znalazło się wprawdzie parę osób, które na ucho przed nim oświadczyły się po jego stronie, ale wiedział, że nic powtórzyłyby tego głośno. Zgorzkniał więc i odtąd jeszcze gorliwiej uciekał do domu, zagrzebując się w pracy i nauce. Tymczasem "reżyserya" wraz

z poplecznikami przemyśliwała o zemście. Miano właśnie wznawiać pewną sztukę, w której już z dawna obiecywano Feliksowi główną, olbrzymią rolę. Pewnego też dnia, już nad samym wieczorem, wolnym od przedstawienia, wpadł do jego mieszkania inspicjent Tychor, przynosząc gruby rękopis. — Pan dyrektor przysyła — rzekł — i zapytuje, czy pan może być gotów na jutro i grać po jednej próbie. Musieliśmy zmienić repertuar... Jutro to pójdzie, a próbę zrobimy o jedenastej. Feliks spojrzął na rękopis. Była to owa rola, której tak pragnął. — Będę umiał — rzekł. Całą noc nie spał, a nazajutrz blady, znużony śmiertelnie, ale pewny siebie, zjawił się o naznaczonej godzinie na scenie. Wchodząc do teatru, rzucił okiem na afisz i dostrzegł tytuł wzmiankowanej sztuki.

Ale gdy wszedł za kulisy, próbowano właśnie nowej operetki.

Zaczęły się

przycinki.

— Cóż, długość się pan uczył?

— Dobra rola, prawda?

— Ale potężny gmach. Trzydzieści arkuszy!

To była zemsta reżyserska. Na bramie teatru naklejony był stary afisz, z datą

podskrobaną, umyślnie dla mistyfikacyi.

Feliks zagryzł wargi.

Siostra ocalonego od powtórnych żartów chłopca zbliżyła się nieznacznie ku

niemu.

— Nie wiedziałam o niczem — szepnęła. — Byłabym pana ostrzegła... Za mnie pan

cierpij!...

— Ach, pani! — przerwał. — Taka mała rzecz! Zyskałem tylko na tem. Jeżeli sztuka

ma być grana, rola ta nie może mnie ominąć... Nikt jej tu nie zagra...

A rozmowę tę wiedli w języku francuskim, który ona znała dość do-

brze z dzieciństwa, a on wyuczył się sam, podczas wieczorów wolnych,

przepędzanych tak gorliwie w domu.

Sprawiło to niemałe na otaczających wrażenie, ale gniew ich wzrósł tylko

tembardziejziej.

Tymczasem rola, którą Feliks przez jedną noc opracował, dostała mu się istotnie w dwa tygodnie po tym wypadku.

Grał ją bardzo dobrze, wywołano go kilkanaście razy, a miejscowy dziennik powitał "nową stroną" w wybitnym talencie pana Ożarskiego. Cieszył się z tego jak dziecko. Był to jego pierwszy tak wielki tryumf, a

powszechnie mówiono, że nawet najlepszy aktor może na tej roli kark skrócić.

Zdawało mu się też, że jej zagranie przebłagał wszystkich niechętnych kolegów.

Sztuka graną była cztery razy w ciągu tygodnia przy pełnym teatrze, a oni przesadzali się dla niego w pochwałach.

Zresztą i dyrektor nie ukrywał swego zadowolenia.

Zamanifestował je po czwartym przedstawieniu rozdaniem hojniej szych, niż zazwyczaj zaliczeń na pensye.

A więc stało się! Oczekiwana oddawna lepsza przyszłość zaczęła nareszcie szczerzyć swe zębki w rozkosznym uśmiechu. Teraz dopiero Feliks w nią uwierzył.

Miał więc istotnie talent! Na ulicach wskazywano go sobie oczami, a młodzież szkolna zabiegała mu drogę wśród szeptów i znaczących spojrzeń. Zapomniał wszystkiego, co przecierpiał, owszem, czuł się za cierpienia te wynadgrodzonym

hojnie, po królewsku...

— Wreszcie po czwartym pełnym przedstawieniu owej sztuki zapowiedziano piątą.

Sala wypełniła się znowu, a młody aktor grał jeszcze lepiej. Po drugim akcie

zeszedł ze sceny wśród gradu oklasków

Wtedy też zbliżył się do niego jeden z komparsów wręczając telegram.

— Przyniesiono, gdy pan był na scenie — rzekł.

Feliks rozerwał bezmyślnie pieczęć blankietu. Był jeszcze zmęczony bardzo.

Oddychał ciężko i patrząc już w pismo, ocierał lewą ręką spocone czoło.

Naraz drgnął.

Telegram opiewał: "Zapytujemy pana o warunki. — Dyrekcya Teatrów Warszawskich".

A dalej jeszcze: "Winszujemy: Żółkowski, Królikowski, Rapacki".

Wszyscy otoczyli go kołem, a przez koło to poczęła się przedzierać biedna chórzystka.

— Ne croyez vous pas! — wołała z daleka.

Ale Feliks tego nic dostrzegł, ani słów jej nie słyszał.

Rozgrzany rolą i świeżym oklaskiem, którego ostatnie echa jeszcze plątały się po

teatrze i tu dochodziły, krzyknął z radości i rzucił się na szyję pierwszego z

bliżej stojących kolegów.

— Boże, Boże! jakżem szczęśliwy! zawołał w uniesieniu.  
Wtedy kika osób parsknęło śmiechem.  
Telegram, jak poprzednio afisz, był podrobiony, a  
dziewczyna, która obiecała mu  
wdzięczność, spóźniła się znowu.  
Nie wszyscy jednak śmiali się tym razem. Widziano, że struna  
żartu była  
przecignięta.  
Młody aktor wodził przez chwilę po obecnych obląkanem  
okiem, a wreszcie zmiąwszy  
papier w rękę, cisnął go w środek zebranego koła.  
— Jesteście podli! — wrzasnął.  
I oparłszy się o szare płótno kulisy, zapłakał.  
Nikt się nie odezwał. Dokoła zaległa cisza, jakiej kulisy te  
podczas widowiska  
nigdy jeszcze świadkami nie były. Tylko po kątach szeptano o  
tym wypadku, poczem  
zgodzono się powszechnie na jedno:

— Dziwak! Któż widział brać tak do serca żart koleżeński...  
Bohater kilku ostatnich wieczorów dokończył tym razem  
sztuki jak najgorzej.  
Publiczność zachodziła w głowę, co mu się stać mogło. Tak  
dobrze grał w dwóch  
pierwszych aktach?...  
Nazajutrz napisał list do jednego z dyrektorów, prosząc o  
miejsce, choćby  
najskromniejsze. W dwa dni otrzymał depezę, tym razem  
prawdziwą, z wyrazami:

"Przyjeżdżaj zaraz". Widocznie wiedziano tam już o jego ostatnim tryumfie.

Kiedy też postanowił z trupą tą się rozstać, gniew jego i boleść przypadły zaraz

prawie bez śladu. Bądź co bądź, wśród garstki tych ludzi stawiał pierwsze kroki,

tułał się z nimi całe trzy lata, z nimi święcił pierwszy prawdziwy tryumf.....

Nie mógł ich rzucić bez pożegnania.

Zaczął od dyrekcyi. Zaproponowano mu obrachunek. Okazało się

jednakże bardzo niewiele mu się należało... Wybierał częściowo, więc nie

pamięta, ale w książkach stoi zapisane... o! bo porządek tu jest, nie ma co

gadać!... To zaś, co pozostało (mała bagatelka!) przyśle mu się do Lublina!...

! może być spokojny, że się przyśle... Moniewski, choć biedniejszy od Wintera,

nie pozwoli — słowo honoru! — aby ten karawaniarz Winter gadał, że on

(Moniewski) krzywdzi aktorów...

Pożegnawszy się w ten sposób z dyrekcyą, zagadał też do każdego z kolegów,

począwszy od awanturniczego reżysera, aż do najskromniejszego komparsa. "W ogóle

swoje ustąpienie sam traktował wesoło.

Nawet do Tychora odezwał się, obejmując go wpół, jak dziewczynę:

— Cóż, stary? Nie wyrzekniesz się swoich "kawałów?"

Inspicyent zrobił bolesną minę.

— Proszę pana! — rzekł. — Pan jeszcze młody... Panu się zdaje, że

można w teatrze uchować się świętym... Ale jak pan dożyje moich lat, a nie rzuci

teatru, to pan będzie lepszym odemnie "kawalarzem"...

A kiedy Feliks zdawał się słuchać cierpliwie, ciągnął dalej:

— Bo przecie, panie kochany, ja też zaczynałem od ról, choć skończyłem na tem,

czem dziś jestem... Ja także musiałem mieć powołanie... Wink von Oben... Pan

rozumie po niemiecku?... Wiem, wiem.. A no, nie poszło jakoś... Cóż robić!...

Ale siła komiczna została... Ot, i gram dla swoich, dla ścisłego kółka, nie dla

publiczności... Bo trzeba panu wiedzieć, że między aktorami to tak: albo

zmarnieje, to raz, albo umrze zawczasie wśród biedy, to dwa — albo wypłynie...

No, ja zmarniałem... Ale człowiek musi się czymś pocieszać...

A czy to zawsze

można się pocieszać wódką?...

I machnął ręką rozpaczliwie.

— Ale pana, to ja zawsze szanowałem! — dodał.

Feliks żałował teraz, że zaczął tę rozmowę. Stary inspicyent, który już nie w

jednym teatrze kąty wycierał i zawsze uchodził za wesołego,  
nastroił go tak, że

życie mogło się istotnie sprzykrzyć.

Milczał też przez chwilę.

— Bodajcie, Tychor! — rzekł wreszcie. — Takeś mię  
usposobił, jakbym miał iść na

pogrzeb. Nie znałem cię jeszcze z tej strony!

— Ba! boś pan ze mną nie zjadł beczki soli... i... i... widziałeś  
mię pan po

paru kieliszkach... Dziś piłem, nie zapieram się!

— No, a będziesz pić jeszcze? — pytał młody aktor.

— Czemu nie? Z panem, to i truciznę!

Zacząto jednak od wódki, a Feliks odezwał się znowu po  
chwili:

— No, a przecież niedawno intrygowałeś na mnie...

Przyniosłeś mi na noc tę

rolę... Pamiętasz?...

Tychor wzruszył ramionami.

— Dali za to rubla! — rzekł najnaturalniej.

Feliks zagryzł wargi.

— Stary głupcze! — zawołał w rozdrażnieniu. — Jabym ci  
był dał dwa, gdybyś był  
tego nie zrobił!

— Daj pan teraz, a... a Bóg to panu policzy! — rzekł stary,  
który spił się do  
reszty ostatnim kieliszkiem.

Nie ulegało wątpliwości, iż całą tę rozmowę wiódł po  
pijanemu. Ztąd to właśnie

pochodziła jego szczerłość, jego melancholia. A jednak Feliks  
nie mógł się

opędzić przygnębieniu, jakim napoiło go wysłuchanie  
szczególniejszych uwag  
starego służebnika sceny.

— Wszystko, byle tak nie zmarnieć! — myślał, patrząc na  
niego.

Zmuszony jednak udawać wesołość przy pożegnaniu z resztą  
kolegów, wkrótce myśli  
te zagłuszył. Był dla wszystkich uprzejmym. Nawet koleżanki,  
które dotąd nie  
mogły mu darować jego obojętności, zaczęły

przyznawać, że jest chłopcem pełnym charakteru. Wieczorem  
zaś sam reżyser

ubolewał, że Feliks towarzystwo opuszcza.

— E! bo głupstwo pan robisz, namyśl się, zostań! — mówił.  
Naturalnie, nie wpłynęło to na postanowienie młodego aktora.  
Odjeżdżając zaś wczesnym rankiem, nie spodziewał się już z  
nikim spotkać.

Tymczasem, za ledwie głowę z domu wychylił, spostrzegł  
znaną chórzystkę.

Nie zapierała się, że czekała tutaj umyślnie na niego.

— Przyszłam pana pożegnać — rzekła.

Teraz dopiero przypomniał sobie, iż żegnając się z  
wszystkimi, pominął ją  
zupełnie.

Zmieszało go to, ale zarazem nastreczyło uwagę.

— To pani wina! — mówił, idąc obok niej pustą ulicą. —  
Zawsze rozmyślnie usuwasz  
się w cień, po za

drugich. A pokazuje się, że zarówno w życiu, jak i w teatrze jest to niepraktycznym...

— Czy się też jeszcze kiedy spotkamy? — przerwała.

— Oh! O to tak łatwo między ludźmi, zwłaszcza w naszym zawodzie — odparł obojętnie.

— Chciałabym jednak widzieć pana szczęśliwym! — mówiła znowu.

— Jestem nim dziś — rzekł. Myślał o tem, że postawił na swoim, że bądź co bądź urósł, jeśli do nowej, a lepszej trupy przyjmują go

skwapliwie, prawie bez namysłu, na pierwsze jego żądanie.

Ale dziewczyna zarumieniła się po tych jego słowach.

Należało mu się jednak spieszyć, a idąc obok niej, posuwał się zwolna.

Uznała to sama.

— Nie powinnam pana zatrzymywać... Do widzenia! — rzekła.

I rozeszli się w przeciwne strony.

W towarzystwie Wintera przyjęto nowego kolegę istotnie bardzo życzliwie. Trupie dobrze się powodziło, publiczność chodziła gorliwie do teatru, pieniądze były, a z niemi i powszechne zadowolenie.

Tu Feliks zastał kilku dawniejszych kolegów z trupy Moniewskiego, a jednym z takich był i Romiński.

— Jak się masz, królu kochany! — zawołał, rzucając się na jego powitanie. —

Schodzimy się wreszcie! Ja tu pierwszy dzwoniłem na twoją intencję! Pierwszy powiedziałem naszemu dyrektorowi: bierz go, to aktor nielada.

Istotnie, gdzie mógł, wychwalał odtąd zdolności Feliksa, jego pracowitość, charakter, naukę.

Ale dodawał zawsze:

— Mój uczeń! Spytajcie się go! nie zaprzeczy!

Młody aktor uśmiechał się, ale nie zaprzeczał.

Razu pewnego zgadało się o dawnej towarzyszce z Podgórze.

— Właśnie przyjęli ją do Lwowa i zrobiła furorę — rzekł

Romiński. — To także

moja uczennica! Ma talent! Zobaczysz, że wy oboje zajdziecie wysoko i kiedyś

mnie na starość podacie pomocną rękę...

Tymczasem, jeszcze przed nadejściem owej starości, pożyczał od swego "ucznia" po parę złotych.

Ale pieniędzy teraz i Feliksowi często brakowało.

— Ja już teraz taki bogaty, jak i ty — rzekł pewnego razu. —

Żyję tylko z gaży.

— Ale wówczas te pięćset guldenów miałeś? Prawda? — pytał "nauczyciel".

Dla Feliksa przypomnienie postępu z ciotką, od której dotąd nie uzyskał

przebaczenia, nie mogło być miłym.

— Miałem — szeptał z westchnieniem.

Romiński mlasnął językiem.

— No, a ja się wtedy ciebie nie doczekałem... Nawinęło się co innego... A byłbym

cię oskubał! — rzekł szczerze. — Co do grosza!

Feliks parsknął śmiechem. Nie mógł się oburzać lub gniewać.

Wszakże z podobną

otwartością przyznał mu się Tychor, iż pomagał za rubla w wyplataniu mu figla...

Trzeba się już było do tego przyzwyczaić.

Tymczasem czas upływał. Towarzystwo Wintera było ruchliwe bardzo; chwyciło

wszystkie nowości sceniczne. Udało mu się też wkrótce

usadowić w Poznaniu. Tam

rozgłos Feliksa ugruntował się na nowo. Powszechnie uznano go za najcelniejszą

siłę towarzystwa.

Również tam otrzymał wiadomość o zgonie ojca. Donosiła o tem ciotka.

"Przysięgam sobie — pisała — że nie chcę cię znać więcej, a przecież mam do

ciebie słabość". Przebaczenie przyszło więc samo.

Wreszcie Winter postanowił na lato osiąść w Warszawie, w ogródku. Miał sztukę z

wyborną dla Feliksa rolę i dużo na nią liczył. Nie zawiódł się wcale. Sztuka

miała wielkie powodzenie, a nazwisko Ożarskiego poczęli powtarzać wszyscy z uznaniem.

W następnym roku znowu do tego ogródka powrócono. Nić sympatii, nawiązana z publicznością, nie zerwała się, owszem wzmocniła jeszcze. Do młodego aktora, skromnego, schludnego i znacznym cieszącego się rozgłosem, przypisał się jeden z dawniejszych kolegów szkolnych z Krakowa. Był to chłopiec majątny i żyjący w świecie, wkrótce też wciągnął Feliksa w towarzystwo wesołej, ale wytwornej i porządnej młodzieży. Polubiono go powszechnie. Wówczas też szepnął mu ktoś z tego życzliwego grona: — Co pan będziesz włóczył się po prowincyi! Zostań tu, w naszym teatrze....

Stały teatr, scena warszawska — to Mekka dla aktorskiego świata. Feliks też przeraził się tej myśli.

— Nie, nie! Zawczasie! — rzekł.

Ale nalegano ciągle.

— Co ci to szkodzi! Zadebiutuj! Właśnie na twoje role jest miejsce. Nigdy

lepszey sposobności nie znajdziesz!

— Zerzną mnie! — odparł, mając na myśli krytykę.

— Kogo? ciebie? co cię tak chwala teraz wszyscy?

Ba! tutaj, w ogródku! Ale tam?... Tutaj dość mi skrzywić usta lub krzyknąć

głośniej, abym podobał się wszystkim, nawet tym, co tam krzywililiby się, gdybym to samo zrobił.

— Więc się zastosuj do tych wymagań.

— Powiedzą, żeś błady...

— E! dziwak jesteś! Ale my to weźmiemy w swoje ręce...

Zapoznamy cię z

Górnickim, on ma wpływy w dyrekcji, a właśnie wystawia nową

sztukę, w której wyborniebyś się przydał... Trzeba mu to podszeptać.. niech cię zobaczy... A już on tam potrafi pogadać z wszystkimi i debiut się uda...

Nie był zarozumiałym i znał już dobrze zakulisowe zabiegi, a przecież zdawało mu

się, że do tej prawdziwej świątyni sztuki, za jaką uważał pierwszy teatr polski,

powinien był wchodzić głównymi drzwiami, śmiało, z podniesioną głową, może nie

teraz jeszcze, za lat pięć, dziesięć, ale nie furtką boczną, jak mu to

przyjaciele proponowali...

Ale oni sami zajęli się tą sprawą. On całych tych starań nie brał na seryo i

gdyby nie przyjaciele, byłby się prawie krokiem za sobą nie ruszył.

Na próbie też, gdy mu takową po pewnym czasie wyznaczono, był tak apatycznym,

bez humoru i życia, że powszechne zdziwienie wywołał.

— On jest gorszy od samego siebie — szeptali ci z aktorów, którzy go widywali w ogródku.

— Będzie klapa! — dodawali inni. Reżyser wziął go też na bok i głosem przyciszonym, ale wśród żywej gestykulacji, doskonale dla patrzących na tę scenę zrozumiałej, począł mu tłumaczyć, że powinien być w tej roli znacznie więcej ożywionym.

— Nawet prostej rutyny u pana przy tej próbie nie widziałem — mówił.

— Na spektaklu ja to inaczej wezmę — odparł zmieszany debiutant.

— Staraj się pan, staraj, bo tak, to nie ręczę za nic!...

Najgorzej jednak poszło mu z artystką, ówczesną ulubienicą pewnej części

publiczności, a grającą w tej sztuce główną kobiecą rolę.

Dziewczyna ta miała z

nim wiele scen wspólnych, widząc go zaś takim bezbarwnym, nie krępowała się

wcale z wypowiedzeniem swoich ubolewań. Był przecie aktorem prowincjonal-

nym, ogródkowym, a ona — ona już przed trzema laty po prowincyi grywać przestała

i nawet nie mogła sobie przypomnieć, czy w ogóle kiedy tam grywała.

— Ależ, panie, tak nie można! — mówiła z aktorskim grymasem. — Pan mi całą scenę popsujesz tą swoją ślamazarnością!...

A kiedy następny frazes powiedział z większym nieco ożywieniem, odezwała się znowu:

— Panie, panie! Nie krzycz pan tak! Uszy popękają!...

Złorzeczył w tej chwili całemu gronu przyjaciół, którzy go do tego debiutu

zmusili. A jednak zniósł to wszystko w milczeniu, wiedział bowiem, że widowiska

odwołać nie można... Co będzie, to będzie!... Jeden śmiech więcej, jedno fiasco

— mała rzecz! Krytyka przejedzie się na nim, jak na łysym koniu — i skończy się wszystko!...

Byłby też na przedstawieniu nie zdobył się na nic od próby lepszego, gdyby nie zachowanie się owej artystki.

Miał żal do niej, żal szczery, słuszny... Była ona dotąd dla niego bożyszczem,

jako aktorka. Przez dwa lata pobytu w Warszawie, każdy wolny wieczór, w którym

nie grał w ogródku, spędzał zapatrzony w jej grę, zaszuchany w jej słowa. Był

jednym z najgorętszych jej wielbicieli wśród publiczności warszawskiej.

Analizował jej grę po szczególe, naciągając i stosując do niej zdania wszystkich

krytyków świata lub piszących o teatrze w ogóle, począwszy  
od Lessinga i Lewesa,  
a skończywszy na współczesnych krytykach miejscowych.  
Zapałem zaś tym, jakim sam  
był względem jej gry przejęty, umiał natchnąć i otaczające go  
grono eleganckiej  
młodzieży. Umiał wymową swą przekonać swych możliwych  
przyjaciół, że to artystka  
wielka, prawdziwa, jedyna.

Wszakże za jego namową, nie dawniej, jak przed miesiącem,  
przyjaciele ci, dla  
których wydatek kilkunastu rubli tak niewiele znaczył, a do  
ekscentryczności  
zawsze byli gotowi, wyprawili jej owacyę z wieńcami i  
bukietem. Nie znając jej  
osobiście, wziął sobie za obowiązek chwalić ją wszędzie i  
wierzył, że spełnia  
misyę dobrą, godziwą, szlachetną... Stało się to jego potrzebą,  
sam nie wiedział  
kiedy, w miarę, jak sam zyskiwał coraz większe uznanie u  
publiczności  
odwiedzającej "ogródki". Może nawet w części i dlatego  
wzbraniał się tak i  
ociągał z wstąpieniem na tę scenę, iż wiedział, że z nią tam  
spotkać się musi.  
A oto teraz, gdy stanął obok niej, na jednych deskach, ona tak  
straszenie go  
przyjęła! Nie wierzyła w jego siły, bała się zbliżyć do niego,  
nazywała

nieszczęściem ten wieczór, w którym z nim grać będzie musiała. Była pewną klęski, a chciała ocalić siebie — tylko siebie!...

Nawet wieczorem, gdy ubrany już, gotów do owego boju, który miał zadecydować o jego przyszłości, na parę chwil przed podniesieniem kurtyny, stał w kulisie, powtarzając w pamięci słowa swej roli, musiał jeszcze wysłuchać jej ubolewań.  
— Nie mógł to ten debiut trafić na Bańkowską! — mówiła do którejś z zaufanych koleżanek. — Wszak ona także grywała tę rolę i dziś jeszcze ma na nią ochotę...  
A byłaby sobie z tem poradziła przy pomocy studenckiej klaki... Ja zaś przepadnę z kretelem!...  
Żal i wstyd wzburzyły w nim krew.  
— Nie mogę dziś źle grać, nie mogę! — szepnął, dodając sobie otuchy temi słowami i zawarł w nich postanowieniem.  
Tymczasem dźwięki orkiestry ucichły. Odezwał się dzwonek, a po chwili i kurtyna poszła w górę.

Pierwszą w swej roli scenę miał sam, bez niej, a przeżegnawszy się machinalnie, zwyczajem aktorskim, wypadł z za kulis drżący, nie z obawy, ale raczej z gniewu

i żalu. Słowa więzły mu w gardle, mimowoli więc usta rozchylił, chwytając chciwie napływające od widzów powietrze. Szczęściem, nadało się to wzburzenie do roli i w całym audytorium rozległ się szmer pochlebny, hamowany dyskretnie przez pierwsze rzędy krzesel, niemniej jednak sprawiający pożądane wrażenie. Jeszcze zdań kilka, jeszcze jeden wysiłek i scena skończyła się gorącym oklaskiem. Na te oklaski wbiegła ona. Miał ją zaczepić jakąś kwestyą, lecz korzystając z przerwy, a zarazem dumny ' z owego oklasku, chciał niejako zwrócić nań jej uwagę, błagać o litość, o pobłażanie, o dalszą zachętę. Nie zdobył się jednak na żadne słowo, lecz zrobił tak pocieszoną minę, że wzięto to za wystudyowany efekt

i milknący oklask wzrósł na nowo z większą jeszcze zaciętością. Wtedy i w niej zagrała krew aktorska. Dawno nie widziano jej tak rozochoconej. Wspólna ich scena poszła wybornie, równie jak i następne, a po skończeniu aktu wywołano ich kilka razy. W antrakcie jeden z przyjaciół, wierny swemu przyrzeczeniu, przyprowadził Górnickiego, a za tą powagą przyszło i kilku innych krytyków. — Powinni pana zaangażować! — rzekł wpływowy Górnicki.

Za jego przykładem wszyscy otoczyli młodego aktora i nie  
szczędzili mu pochwał.  
Wtedy przysunęła się i ona, współniczka jego tryumfu,  
zwłaszcza gdy zobaczyła,  
iż z debiutantem wita się serdecznie jeden z młodszych  
recenzentów, którego  
dotąd nie znała, a który zwykle dosyć był w sądach swoich i  
ostrym i swobodnym,  
a rzadko szedł za głosem starszych kolegów.

Zwróciła się jednak najpierw do Feliksa.  
— Filut z pana! — rzekła, czepiając się poufale jedną ręką  
jego ramienia. —  
Filut! Przyczaiłeś się na próbie umyślnie, ażeby wszystkim  
zrobić tem większą  
niespodziankę...  
A kiedy recenzent, nie znając aktorki, chciał się odsunąć,  
odezwała się znowu,  
udając zmieszanie:  
— O! nie chcę panom przerywać rozmowy...  
I dodała szybko do Feliksa z wdzięcznym uśmiechem,  
skierowanym w połowie w  
stronę literata:  
— Ale... może nas pan zapozna?...  
Feliks zrobił, czego pragnęła.  
Był upojony powodzeniem, ale karesy jej przyjął bardzo  
chłodno. Nie mógł i nic  
chciał zapomnieć jej ubolewań, z jakimi przed godziną  
jeszcze wcale się nie  
taiła, owszem demonstracyjnie zdradzała, aby uszu jego  
doszły. Zły też był sam

na siebie, że długo po jej odejściu czuł na ra-

mieniu ciężar jej dłoni, a ze wszystkich pochwał, jakimi go obsypano, słyszał

tylko jej wyrazy: "Filut z. pana!..."

— Aktorka jak wszystkie! -zadecydował z oburzeniem.

Ale kiedy wieczorem, na kolacyi, wśród grona

uszcęśliwionych z tryumfu

przyjaciół, ów młody recenzent, który aktorki tej nie lubił,

począł opowiadać

swoje z nią poznanie i szydzić z niej, jako z wyrafinowanej

kokietki, Feliks

uczul ból w piersiach. Zdawało mu się, że on tylko ją zna, że

on tylko ma prawo

sąd o niej wydawać. Wobec tych oskarżeń przebaczył jej

wszystko.

Począł też ją bronić, ale zwykle logiczny i ścisły w

wyrażeniach, zaplątał się

tym razem w wywodach, zwłaszcza, gdy jeden z młodzieży,

przypomniawszy sobie

dawniejszego zapały, przerwał:

— No, tyś już oddawna wpisany w grono jej trybularzy!...

Przerwano więc dyskusję i zapito sprawę.

O ile zaś Feliks poprzednio się wzbraniał, o tyle teraz pragnął się dostać na tę

scenę i truchlał na myśl, że może być nie przyjętym, że "ona"

mogłaby jeszcze

tryumfować. Ta cała włóczęga prowincjonalna wydała mu się straszną, okropną, wstrętną niemal, a ci przyjaciele i koledzy dawniejsi zbieraniną z pod ciemnej gwiazdy. Litował się nad nimi, ale czuł, iż rzuci ich bez żalu, że Otrząśnie się tylko po rozstaniu z nimi, jak z przykrego snu, który już się skończył i nie ma więcej powrócić. Oświadczone mu, że prawdopodobnie drugiego debiutu nie będzie już potrzeba, a znaczyło to bardzo wiele, dawało bowiem prawie pewność przyjęcia. Przecież nie mógł się doczekać decyzji, która dopiero zapaść miała za dni kilka. Bał się zdradzić ze swą gorączką i narazić na śmieszność, a przecież codzień od

dnia debiutu krążył w godzinach rannych około teatru, w nadziei, że może coś nareszcie się dowie.

Tam, pod filarami, spotkał się raz z nią, z partnerką swojego debiutu, wracającą właśnie z dyrekcyi. Chciał ją wyminąć i zrobił już nawet w tym celu pół obrotu, nagle jednak przypomniał sobie oskarżenia, jakie na nią rzucano.

— Ona kokietka? ona? z tą twarzą pogodną i oczyma nieśmiało na światło dzienne spoglądającymi?

Zatrzymał się też i pozdrowił ją ukłonem.

Ale ona ruch jego poprzedni widziała i dobrze oceniła,  
zwłaszcza, że pamiętała  
też ostre przycinki, jakich nie skąpił jej ów młody recenzent  
po owem debiutowem  
przedstawieniu. Mogła była śmiać się z tego, bo wszak miała  
tylu innych na swe  
usługi, a on jeden szkodzić jej nie mógł. Ale ubodło to jej  
dumę, że zbliżając  
się do tych obu ludzi, nie

zrobiła z nich odrazu swoich niewolników.  
Teraz więc na ukłon Feliksa odpowiedziała z uśmiechem.  
— Przyjęto pana — rzekła, zatrzymując się. — Właśnie  
wyrok zapadł. Cieszę się,  
że mogę to panu pierwsza oznajmić...  
Odetchnął pełną piersią. Nareszcie skończone męki  
niepewności. Teraz będzie  
można rozpocząć spokojną, poważną pracę. Niechby była  
najcięższą, ale to już  
będzie praca dla prawdziwej sztuki, dla dojścia do tych  
wyżyn, o których marzy  
każdy szeregowiec.  
Zwiastunka tej wieści wydała mu się aniołem.  
— I ją oczerniają! — pomyślał.  
Poszedł z nią ku domowi i sam w drodze poruszył sprawę  
uprzedzenia owego  
znajomego recenzenta.  
Artystka przybrała minę pokutnicy.

— Och, przywykłam już do tego — rzekła.  
Zdawało mu się, że dostrzegł w jej oczach łzy.  
Jeszcze też tego dnia wymógł na owym recenzencie pochlebnią dla niej wzmiankę.  
— Pisz o mnie co chcesz — prosił — ale ją pochwal.  
— Warjat jesteś — odparł literat, wzruszając ramionami, ale wzmiankę żadaną w dzienniku swym pomieścił.  
Ona nazajutrz uścisnęła Feliksowi rękę.  
— Dziękuję panu — rzekła, mając łzy znów oczach.  
Począł się wymawiać, zapierać.  
— O! nie oszukasz mię pan! Tobie to zawdzięczam! — odpowiedziała.  
Feliks był uszczęśliwiony.  
W parę dni jednak przyszło zastanowienie.  
— Źle! — szepnął sam do siebie.  
— Ja ją kocham!...  
Z początku przeraził się tego

przyznania. Starał się jej unikać, wyśmiewał ją sam przed sobą, ale gorączka nie ustępowała, a ten przymus sprawiał mu cierpienie.  
Wówczas przyszła rezygnacya.  
— Stało się! — pomyślał. — Raz to przecież musiało nastąpić...  
I odtąd, będąc już stałym jej kolegą, począł nadskakiwać zręcznej aktorce niemal do przesady. Broń Boże, aby kiedy zabrakło dla niej krzesła, gdy chciała z po za kulis przyjrzeć się scenie podczas widowiska. Zkąd wziąć to wziąć, choćby

podstępnie spędzić przyszło z zajętej już pozycji którą z koleżanek, dla niej krzesło musiało się znaleźć. Mogła odtąd nie zważać na stan pogody, nie pamiętać o parasolu, nie słuchać godzin zapowiadanych prób, nie przeglądać przed zaczęciem sztuki, czy potrzebne rekwizyta znajdują się na swoim miejscu lub w kieszeniach jej kostiumu, — on o tem wszystkim za nią myślał, w porę wszystko przypominał,

załatwiał, poddawał. Do niego należało też obliczać ilość i esencjonalność wzmianek dziennikarskich o jej rywalkach i starać się natychmiast o pomieszczenie takich wzmianek o niej, tylko o parę wierszy dłuższych lub w parę epitetów: "sympatyczna" — "utalentowana" — "zawsze mile widziana" — bogatszych. On musiał dowiadywać się naprzód, czy przypadkiem studenci nie zamierzają prosić jej rywalki o deklamacye na koncercie, w takim zaś razie, przy pomocy otaczającej go młodzieży, miał obowiązek przeszkodzić temu zamiarowi, podsunąć myśl poproszenie jej, a wreszcie wynaleźć odpowiedni wiersz lub wyprosić całkiem świeży u którego z literatów. Ona zaś przyjmowała to wszystko jako daninę, która jej się należała z prawa...

Z początku te wszystkie jego zabiegi mało czyją zwracały uwagę. Przyzwyczajono się już do tego, że ta dziewczyna musi mieć kogoś "na

służbie", jak nazywano. "Służbę" taką wypełniał już przed Feliksem niejeden z dziennikarzy i niejeden z jej kolegów. Długo nikt się w tych obowiązkach nie mógł utrzymać. Jeden się znużył i rzucał ją sam, innego znów, znużonego i tem samem obojętniejącego, odprawiała ona. O Feliksie też sądzono, że pokreśli się koło niej, jak wielu jego poprzedników i jak oni wyzwoli się wkrótce. Zresztą chłopiec cichy, spokojny, grzeczny, nie zawadzał nikomu, pozwolono mu więc robić, co mu się podobało. Przecież, gdy stan taki przedłużał się nad miarę, a zwłaszcza, gdy chcąc jej oddać usługę, trzeba było czasem tej lub owej koleżance, a nawet koledze, psiego figla wypłatać, poczęto go reflektować.

— Felek! Bój się Boga! ugrzązłeś!

— Gdzie? — zapytał, udając, że nie rozumie.

— W służbie!

Spuszczał wówczas oczy, jak

dziecko, ale uśmiechał się z przymusem i odpowiadał:

— Wyrosnę z tego... Nic mi nie będzie!...

Ale nie wyrastał. Owszem, truł się wewnątrz. Czuł, że całą swoją energię zużywa na te drobiazgi, na pamięć o niej; że cały wolny czas, z takim dawniej pożytkiem spędzany przy książkach, jej teraz poświęca. Wprawdzie wiedział, iż umie już dziś więcej od niejednego z kolegów, co zaś do ról i szybszych postępów w sztuce, trzeba było czas jakiś przeczekać, a wejście na pierwszą w kraju scenę opłacić pewnym rodzajem nowicyatu. Wiele ról było tu uprzywilejowanych; raczej nie grało się sztuki jakiejś, niż żeby rolataka miała się wysunąć z ręki artysty, któremu należała się według tradycji. Powoli doczekać się tych ról musiał — wiedział o tem dobrze — tymczasem jednak należało się kontentować drobiazgami; na to nie było rady.

Tem się pocieszał. A przecież niekiedy ona zabierała mu za wiele czasu. Nie dawniej, jak onegdaj, zajęty jej sprawami, nie miał nawet chwili wolnej, aby wpaść do cukierni na gazety, których zwykle codziennie mnóstwo całe pochłaniał. Absorbowała go zupełnie — wyciskała jak cytrynę — sam to przyznawał. A jednak, gdy pewnego razu zwróciła się o jakąś drobną przysługę do innego z kolegów, uznał się tem dotkniętym i zaraz j ej to wymówił.

— Złota pani! — rzekł. — Przecież jabym to był załatwił najchętniej.

Uśmiechała się życzliwie i naprawiła swój błąd zaraz, polecając mu sprawdzić wyczytane w "Kuryerku" ogłoszenie o sprzedaży starych koronek na Lesznie. A jednak odtąd coraz mniej zasypywała go swemi poleceniami, coraz więcej zostawiała mu wolnego czasu. Z początku nie zwrócił na to uwagi. Nie zastraszyło go nawet, gdy pewnego razu umówi-

szy się z nim, że ma ją po spektaklu odprowadzić do domu, wymknęła się szybko, cichaczem, bez śladu.

— Taka jej przyszła fantazya — pomyślał i nie miał do niej żalu.

Aż naraz, zarówno po teatrze, jak i wmieście, rozeszła się wieść, iż koło niej poczyną się kręcić jakiś bogaty obywatel i to w zamiarach poważnych.

— Oświadczył się już nawet! — mówiono.

Feliks uśmiechał się ironicznie. Wiedział, że pogłoski takie zjawiają się zwykle peryodycznie, raz około nazwiska tej, to znów innej artystki, mając czasami niejaki podstawy w istotnych zabiegach podobnych, czasami zaś będąc wprost zmyślonemi, w celu dokuczenia tej lub owej rywalce, która w nie zechce uwierzyć.

Zwykle też kończy się to na niczem, artystka oświadcza później ostentacyjnie, iż przeniosła ukochaną sztukę nad świetną partyę, jaka się jej trafiła.

— A któraż z nich więcej jest w zawodzie swym rozmiłowana, jak ona, Wanda? — myślał Filiks.

Panna Wanda tymczasem zaczęła najwyraźniej stronić nietylko od niego, lecz od wszystkich kolegów i koleżanek. Jeśli zaś zbliżała się czasem do nich, to tylko po to, aby pochwalić się jakim nowym sukcesem, jakim odznaczeniem, które nie każdą z tych koleżanek mogło równie łatwo spotkać. Oto zaproszono ją właśnie na bal do Wołyńskich. Dom wystawny, nieprzystępny, w wybranem zamknięty kole. A przecież ona tam będzie — ona, jedna ze wszystkich.

Nie kryła się też z tem, wcale, a jednak Feliks najpóźniej dowiedział się o tej nowinie. Ucieszył go zaszczyt, jaki na nią spadł, bawił się zazdrością kobiecego grona, której nie umiano pohamować, ale zarazem czuł jakiś niepokój.

Kto jej ten dom otworzył? Z kim ona tam się ma spotkać? Czemu tam

się ciśnie? w jakim celu? — te pytania falą napływały mu do głowy.

Byłby dał wiele za to, aby mógł ją tam widzieć. Jemu, mężczyźnie, łatwo się było w dom otwarty wkreślić. Darowanoby mu aktorstwo. Napróżno jednak przebiegał myślą szeregi znajomych. Nie znalazł nikogo, któryby go mógł tam wprowadzić.

W dzień owego balu ona nie grała, a i rano miała od prób wolny. Nie potrzebowała też od niego nic, nic zgoła. Może jednak powinien się sam domyśleć i usłużyć jej w czym? Tak, bezwątpienia, trzeba się zgłosić z zapytaniem.

Kiedy jednak przed wieczorem pobiegł do jej mieszkania, służąca uchylając drzwi, oświadczyła mu, że pani niedługo zacznie się ubierać i już widzieć się z nikim nie może.

— Ale, bo widzisz, Kasiu — rzekł — ja przychodzę zapytać?.. czy czego nie potrzeba... Może karetę pani zamówić?... Postarałbym się...

— Po panią przyjedzie karetą prywatną, proszę pana... Odszedł. Grał tego wieczora jedną z ról małych, jakie mu się teraz dostawały, ale grał wybornie, z jakąś gorączką, która się widzom musiała udzielać. Kiedy zaś koledzy chcieli go po przedstawieniu zaciągnąć na kolację, wymówił się, iż musi śpieszyć wprost do domu.

Tymczasem oni, wracając koło drugiej w nocy, spotkali go na środku ulicy,  
zapatrzonego w oświetlone okna pierwszego piętra pewnej wielkiej kamienicy.

Stał jak słup, wśród rozmiętego śniegu, nieruchomy, bez czucia.

— Ożarski! — zawołano. — Cóż pan tu robisz na takiej słońcu?

Zmieszał się i począł jąkać coś niewyraźnie, im zaś szereg karet przed bramą  
przypomniawszy Wołyńskich i pannę Wandę.

Spojrzeli na siebie znacząco, a złośliwy Swobodnicki spytał:

— Grasz pan?

— Co? — zapytał Feliks mimowolnie.

— Amanta — zawołano.

— Komicznego! — dodał Swobodnicki.

Był więc śmiesznym... Śmiesznym przed nią, dla niej. A więc do tego już  
doszło!... Stało się... Trzeba z tem raz skończyć... trzeba się z nią  
rozmówić...

Nazajutrz pobiegł do niej około południa. Tym razem przyjęto go. Przez niego

szczególne balu mogły się dostać za kulisy, a na tem aktorce zależało. Zastał ją

przy herbacie. Była jeszcze upojona wczorajszym tryumfem. Bawiła się doskonale.

Cały salon tylko na nią oczy zwracał, a i kobiety przyznawały, że ma wiele  
wdzięku i naturalności.

— A co ja wczoraj przecierpiałem! — odezwał się, gdy skończyła opowiadanie.

— O! byłeś pan chory? — zapytała.

Zapytanie to zmięszało go cokolwiek, przecież po chwili ochłonął.

— Czemu pani nie chce się domyśleć, co się ze mną dzieje?

— rzekł z wymówką.

A kiedy zamierzała zrobić zdziwioną minę, dodał szybko:

— Ja panią kocham!... nad życie!...

Właśnie podnosiła do ust łyżeczkę z herbatą i upuściła ją z brzękiem na spodek.

— Dobrze — rzekła spokojnie, zimno — zanotuję pana...

Jesteś sto trzecim, który

mi to powtarza. Wczoraj przybyło mi aż sześć nazwisk...

Bogaty dzień!... Patrz

pan!...

I przechylając się ku stolikowi, sięgała istotnie po maleńki notatnik.

Ale on zatrzymał jej rękę.

— Pani! — rzekł — to nie żarty!... Ja kocham prawdziwie... Ja już śmiesznym

jestem przez tę miłość!

Podniosła się z kanapki surowa, wzburzona.

— Ach, i mnie pan ośmieszasz, to gorzej! — odparła. — To nawet wcale nie jest mi na rękę!...

— Od pani zależy zapobiedz temu! — rzekł. — Nikt śmiać się nie będzie, nikt

śmiać się nie poważy!

— Ach! małżeństwo! — przerwała. — Małżeństwo między aktorami!

I poczęła się śmiać sama, tym razem szczerze, głośno, swobodnie.

— Czyż aktorzy nie żenią się między sobą? — zapytał.

— Ach! tak! — odparła. — Z głupoty, albo z konieczności!

Na szczęście mam pana

za rozsądnego, no i siebie także, a konieczność żadna nie zachodzi...

I znowu się zaśmiała. Odetchnął ciężko i począł czoło dłonią przecierać.

— Tak, tak, kochany panie Feliksie — mówiła dalej. — Jesteś pan najpoczcniejszym

chłopcem, ale strasznie naiwnym... Ja za mąż teraz wychodzić nie myślę, gdybym

zaś kiedy

wyjscie miała, to dla tego, aby rzucić scenę... Tymczasem, pozostajmy przyjaciółmi!...

I wyciągnęła ku niemu obie ręce.

Czyjej dłoń podał, jak się z nią rostał, gdzie się plątał przez całe popołudnie

— nie wiedział.

Wieczorem sam szukał towarzystwa i znalazł całą "paczkę" dawnych znajomych, wraz

z owym szkolnym kolegą, któremu głównie dzisiejsze swe stanowisko zawdzięczał,

oraz owym recenzentem, który do panny Wandy był uprzedzonym.

Wybrano się na kolację, a podczas niej, przy kieliszku, młody aktor zadziwił

wszystkich wyborynym humorem. Dawno go takim nie widziano.

— Felek! coś ty dziś tak język rozpuścił? — pytali wszyscy.

Drwił z teatru, z siebie, z kolegów, posługując się całym

oczytaniem i trzema

naprzemian językami. Pienił się i iskrzył, jak szampan, który pito.

Pod koniec kolacyi wspomniął ktoś pannę Wandę.

Machnął ręką i rzucił obelżywy wyraz.

— Jak wszystkie! — dodał.

Odtąd takim już pozostał. W role powoli wchodził, na scenie był zawsze mile

widzianym, a koledzy bali się jego ostrego języka. Ten i ów próbował mu się

odciąć, ale nie mógł poradzić. Zwłaszcza dla kobiet był

biczem, choć bez

przyczyny nie zaczepiał nikogo. Owszem dla tych, którzy i jego zostawili w

spokoju, był grzecznym jak dawniej. Sława jego, jako

wybornego towarzysza w

kompanii, który wszystkich potrafił ubawić, wzrastała ciągle.

Nowych znajomych z

pomiędzy eleganckiej młodzieży coraz więcej przybywało i

rzadkim bywał wieczór

bez kolacyjki w wesołym gronie. Nie spijał się i zawsze umiał

utrzymać się w

mierze, ale w domu coraz mniej odtąd siadywał.

Pewnej nocy, wróciwszy z takiego wesołego wieczoru, zastał na stoliku bilecik.

"Chcę się z panem zobaczyć. Hotel Brühlowski, "

Pod spodem stało włoskie nazwisko.

— Pomyłka jakaś — szepnął.

Dopiero po chwili przypomniał sobie, że nazwisko to należy do śpiewaczki, która świeżo zabłysła zagranicą, a właśnie miała gościnnie wystąpić w Warszawie.

Mówiono, że jest Polką z urodzenia, ale to mu chwilowo zagadki nie mogło wyjaśnić.

Zrana zbudzono go drugim takim samym bilecikiem, który jednak miał tym razem

dopisek: "To ja, dawna chórzystka z Kalisza".

Ucieszyło go to i zaciekało zarazem.

— Ta się wygrzebała! — pomyślał.

I poszedł. Czekwała na niego i gdy zadzwonił, otwarła mu drzwi sama.

— Ach, to pan! — rzekła. — Zawsze ten sam! Nic się pan nie zmieniłeś!

Nie mógł o niej tego powiedzieć. Wyrosła, utyła, wypiękniała.

— Cztery lata! — szepnął.

Z początku rozmowa nie szła. Zawiele mieli sobie wzajemnie do opowiadania. Po chwili jednak wątek dał się uchwycić.

Ona wiedziała z dzienników o wszystkim, co dotyczyło jego kariery. Że ją to cieszyło — czyż o tem potrzebuje go zapewniać? Jej historia krótka. Znalazł się jeden uczciwy krewny, który dopomógł do odzyskania pewnej części tego, co jej się należało. Wtedy spostrzegła też, iż ma głos niebrzydki, a sceny rzucać już nie chciała. Uczyła się dwa lata zagranicą, od dwóch zaś już śpiewa i dobrze jej się wiedzie. Co zaś do brata, wybił sobie teatr z głowy. Studjuje medycynę, bawi w Paryżu, a zamierza osiąść w Warszawie.

Na wspomnienie brata, zwróciła też uwagę na dawnego towarzysza.

— Ależ pan kaszle okrutnie! — rzekła. — Przeziębilesz się pan widocznie...

Dziwna rzecz! Kaszle?... A tak, trochę... Ale tego prawie nie spostrzegł.

Drobnostka!...

— Pamięta pan? Chciałam pana widzieć szczęśliwym? — mówiła dalej.

Wiedziała, że on musi się wybić na wierzch... Była tego pewną. I zastaje go

teraz na pierwszej polskiej scenie... Jakże ją to cieszy!...

— Tak, to szczęście! — rzekł i zakaszlał znowu.

Był w ogóle jakimś apatycznym, nieśmiałym. Napróżno usiłowała go rozruszać,

ożywić.

— Zasmuciłeś mię pan! — rzekła wreszcie.

Wtedy wyciągnął ku niej obie dłonie.

— Niech mi pani wierzy, że to nasze spotkanie ucieszyło mnie szcze-

rze... Tylko... — i znowu kaszel przerwał mu mowę.

Spojrzała na niego z litością i przestraczem zarazem.

— Pan jesteś naprawdę chory? — mówiła.

— Nie, nie... to jest... tak... trochę — bronił się, płacząc wyrazy bez związku.

— Ale pan ma i jakieś zmartwienie... Panu coś jest... Gdybym ja mogła na to

poradzić... Przecież... Powinniśmy być przyjaciółmi..

Tą swoją prośbą przypomniała mu Wandę. Poruszył się niespokojnie i zagryzł

wargi.

— Sam nie wiem, co mi się dziś stało — rzekł. — Jutro zobaczy mię pani innym...

Nazajutrz jednak nie zobaczyła go wcale. Był chory, leżał, zmieniono nawet przez

niego widowisko, z czego panna Wanda była bardzo niezadowolona.

— Ach! tak mi zależało na dzisiejszym spektaklu — rzekła.

— Na złość mi to zrobił!

Po tygodniu powstał. Kaszel wprawdzie nie ustępował, ale przycichł nieco i siły

wróciły. Śpiewaczka zaś przez czas tej słabości dowiadywała się codzień o niego

i zasypywała go łakociami, które sama odnosiła aż do drzwi jego mieszkania.

Ucieszyła się też zobaczywszy go znów na nogach.

— Powinieneś się pan szanować. — mówiła.

— Nic mi nie będzie! — odparł.

Wkrótce wrócił do dawnego humoru. Dowcipkował, naśladował arcy pocieszenie

niektórych kolegów, miał na zawołanie mnóstwo anegdotek.

— Takim pana chciałam widzieć! Jesteś nieporównanym! — mówiła śpiewaczka.

Występy jej powiodły się dobrze, nie sprawiły jednak większej

sensacyi, a to głównie z powodu niedogodnej pory wiosennej. Nie martwiła się jednak tem wcale.

— Wrócę tu na, jesień — mówiła. — Wtedy musi pójść lepiej.

Zobaczycie, że jestem niezłą śpiewaczką!

Tymczasem musiała wyjeżdżać, obowiązywał ją bowiem terminowy kontrakt.

Po jej wyjeździe panna Wanda zbliżyła znowu Feliksa ku sobie. Ten młody

recenzent, który przez pewien czas wydawał się ugłaskany, począł jej na nowo

dokuczać, a nawet przeciągali i innych na swoją stronę.

— Co ja mu winna! — mówiła ze łzami. — Co ja winna, że tak łatwo odstręczam od

siebie ludzi... Nawet ty, panie Feliksie, przestałeś być już moim

przyjacielem!...

Nie wierzył już teraz w jej łzy, ale nie chciał mścić się na niej... Wszystko mu jedno.., Tego recen-

zenta może znowu udobruchać. Pal lichy!...

— Och, pan jesteś poczciwy zawsze! — zakończyła.

Okazało się jednak, że zadanie nie było tak łatwym. Trzeba było za tym

recenzentem biegać, pilnować, następować mu niemal na pięty. Również i tę całą

kompanię przyjaciół należało ku niej znowu nawrócić, gdyż tylko tym sposobem rzecz się dała zrobić.

Rozpoczęły się więc znowu kolacyjki, podczas których bawił towarzyszy dlatego, aby dla niej, dla Wandy, byli dobrymi.

A z tem późnem przesiadywaniem po nocach, wrócił i kaszel z większą jeszcze

siłą. Kiedy też włosko-polska śpiewaczka przybyła w jesieni według

przyrzeczenia, zastała znów Feliksa w łóżku.

Nie odeszła tym razem od drzwi jego mieszkania, lecz poczęła prze-

pędzać przy nim każdą chwilę wolną.

Lekarz wmięszał się jednak w tę sprawę.

Nie radzę pani długo tu przesiadywać — rzekł na uboczu. —

Zdecydowane suchoty...

To dla pani może być niedobrem... W każdym razie ryzyko wielkie...

Zapłakała.

— Więc on z tego nie wyjdzie?

— Hm, do wiosny może dożyć — odparł lekarz.

— A gdyby wywieźć go za granicę, do Włoch?

— Już za słaby na taką podróż...

Ale lekarz się mylił. Feliks powstał znowu. Podniosła go tym razem nowa rola, oddawna dla niego przeznaczona, w sztuce, również oddawna przygotowywanej.

Ex-koleżanka z Kalisza pożegnała go też z iskrą nadziei, przyłączając się oklaskiem do tych, jakich nie szczędziła mu publiczność.

Tymczasem po czwartym przedstawieniu sztuka znowu musiała zejść z afisza, z powodu jego choroby.

Leżał tym razem cały miesiąc. Wreszcie poprosił sam, aby go odwieziono do szpitala.

— Tu nie mogę dowołać się niczego... żadnej obsługi... Tam mi będzie lepiej i taniej....

Zrobił się oszczędnym, począł liczyć się z każdym groszem. Dla odwiezienia go do szpitala przybyło kilku kolegów.

Lekarz kazał go otulić tak, aby wcale powietrzem wilgotnym nie mógł odetchnąć. Gdy ujrzał się otulonym w wielki szal i w filcowe buty na nogach, uśmiechnął się szczerze.

— Menelaus... — rzekł, wskazując na swe ubranie.  
Wszyscy parsknęli śmiechem, uznając trafność tej uwagi i  
zanucili chórem:

Jedź do Krety, jedź do Krety, jedź do Krety!...  
Z tą pieśnią znieśli go ze schodów i wsadzili do oczekującego  
w sieni powozu, a  
ten i ów z mieszkańców, słysząc śpiewanie, uchylił drzwi i  
stanął zdumiony.

— Cóż to? — pytano.

— A to tego chudzinę aktora wiozą tyż aktory do szpitala —  
objaśniała stróżka.

W szpitalu znowu upłynął miesiąc. W ciągu tego czasu i w  
miarę postępów choroby,  
zrobił się zgryźliwym, opryskliwym, że trudno było do niego  
przystąpić. Chcąc  
odezwać się, trzeba było dobierać wyrazów. Kiedy raz któraś  
z koleżanek

zapytała: "Jakże pan się czuje?" — odparł:

— Czuję, że jeszcze nie umarłem... Kiedy zaś, znając jego  
słabostkę,

zapytano, czy nie pragnie, aby panna Wanda przyszła go  
odwiedzić, skrzywił się  
mrużąc:

— Tu jej przecie nie wyrobię już żadnej reklamy...

W tym czasie doręczono mu dwieście rubli, pozostawione z  
honorarium dla niego

przez śpiewaczkę. Zabroniła mówić, że to od niej, przecież ktoś się wygadał.

Suchotnik oburzył się i począł odgrażać, że pieniądze te odeśle.

— Całe życie nie żebrałem — mówił. — Czemu żebrać mam teraz?...

Ale po paru dniach pogodził się z myślą tej pożyczki i począł roić różne plany, które jednak skończyły się na tem, że zawołał jakiegoś żyda, a nazajutrz

pokazywał wszystkim przedarty weksel na kilkadziesiąt rubli.

— Koledzy ręczyli — mówił. — Niech nie narzekają...

W biednej chorej głowie myśli i zachcenia zmieniały się co chwilę.

Razu jednego dowiadywał się: ile trumna metalowa kosztuje i kazał notować daty do nekrologu, to znów

za chwilę złościł się, że ostatnią z jego ról oddano Greczyńskiemu, oraz, że nie przysyłają mu nowych do nauki.

— Cóż oni myślą, że mnie się tak łatwo pozbędą! — narzekał. Dano mu więc ról parę, umyślnie, aby go uspokoić, a on począł uczyć się ich pilnie.

Zamiast głosu jednak wydobywał mu się z piersi tylko szept jakiś.

— To nic! — tłumaczył przybyłym. — Będę uczyć się cicho, aby głosu oszczędzać na scenę.

Aż pewnego ranka powiedział:

— Już umię wszystko!

Wtedy jednak i lekarze musieli coś powiedzieć zarządowi szpitala, albowiem około południa przybyły siostry miłosierdzia i poczęty namawiać go, aby się wypowiedział. Przystał z ochotą, nie zdając sobie widocznie sprawy ze swego stanu, a kiedy według zwyczaju wniesiono stoliczek

z pasyą i płonącymi świecami, szepnął:

— Rekwizyta w porządku... to dobrze...

Po spowiedzi oświadczył, że zaśnie, a kiedy zakonnica chciała się oddalić

przywołał ją jeszcze skinieniem ręki, dając poznać, że pragnie jej coś powiedzieć.

Długo poruszał wargami napróżno, zanim nareszcie do uszu nachylonej nad jego

twarzą kobiety dobiegły wyszeptane wyrazy:

— Czy... Greczyński... naprawdę... grał... po... mnie?...

Biedna kobieta nie wiedziała, co odpowiedzieć, skinęła głową potakująco.

Wtedy uśmiechnął się i podniósł rękę ku ustom, jakby chciał chichot przyciszyć.

Trwało to chwilę, poczem znowu począł poruszać wargami.

Cierpliwa zakonnica nachyliła się znowu nad nim.

— Jak... ten idyota... musiał... tę rolę... paskudzić... chi, chi, chi...

I przymknąwszy oczy, uniósł w tył głowę, prężąc wyschniętą  
szyję, jak człowiek,  
co się zanosi od śmiechu.  
Twarz wychudła, blada, zaczęła zastygać...